

# WIEŚ

 Instytut Bałtycki Wyd. Biblioteczny  
 Bydgoszcz Al. 1-go Maja 48

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 10 listopada 1946 r.

Nr 44 (72)

Jan Aleksander Król

## Z CZARNEJ ANGLII

Listy z Anglii (I)

(List otwarty do Stanisława Cieślaka \*)

### Drogi Przyjacielu!

Są dwie Anglie: czarna i zielona. Pierwsza w miastach, druga poza nimi. Od której zacząć? Kiedy Ty wróciłeś z Anglii, nie mówiłeś o zielonej. Nie pamiętam na-

chłopskich jest podstawowym warunkiem ich opłacalności. Wyliczałeś całe listy tych rodzajów produkcji, które w kraju zamienne z surowców na artykuł, wielokrotnie pomnożą opłacalność i na rynkach za-

ris Praz (Agonia romantyzmu), — „Introduction to Production control“ Walkera, „Discovery of India“ Neksu (Dyskusja o Indiach).

Pierwsze zdanie, jakie usłyszałem z ust Polaka, inteligenta z „naszej emigracji“ było: „Zle prowadzicie rewolucję w kraju. W szczególności wy, pisarze, za mało walczyliście z kulturowością i chamstwem“.

Pierwsze zdanie, jakie usłyszałem od dyplomaty angielskiego, było: „Ile produkujecie wagonów miesięcznie? A będziecie budować fabryki samochodów? Jaki jest stan waszej elektryfikacji?“.

\*

Łondyński port towarowy nad Tamizą ma 70 km długości. Połowę naszego przedwojennego wybrzeża morskiego. Ale, gdy u nas linia piaseczystych wydm, tu każdy metr jest miejscem przeładunku. Każdy metr oznacza kilka milionów funtów rocznego obrotu handlowego. Przypływ morza wznosi wodę na Tamizie. Nad okrętami dzwiczę las pracujących dźwigów. Kilkunastoletnie wyrostki rzucają w przerwie obiadowej kawałki drzewa i puszki z konserw. Czy to jest odpoczynek? Patyki i gałęzie, zatknięte jako masz, zalewa



Tak wyglądała chata wiejska w Anglii w 12-tym stuleciu. Dziś jest to muzealny zabytek, specjalnie konserwowany dla „romantyzmu“.

wet, czy kto z nas o nią pytał. Stała na penum zarządu ZSCh sprawa pożyczki amerykańskiej dla Anglii. To był Twój „gościńiec“. Dziwny na pierwszy rzut oka, niepokojący przy bliższym poznaniu. Stwierdziłeś, że Anglia przeznacza w całości uzyskaną pożyczkę na unowocześnienie technicznych urządzeń swego przemysłu, w szczególności kopalń węgla. Górnictwo Wielkiej Brytanii a... Polska, a Samopomoc Chłopska... jakich tu związek? Dowodziłeś — za pięć lat doczekamy się na węglowym rynku europejskim groźnej konkurencji ze strony Anglii. Inwestycje, które teraz wkłada dadzą jej tańszą i szybszą eksploatację, tańszy i szybszy transport. Oto problem: „będzie coraz trudniejszy eksport naszego przemysłu, o ile nie nastąpi na olbrzymią skalę modernizacja urządzeń. Dlatego myśląc parę lat naprzód, musimy budować rynek wewnętrzny i budować eksport rolniczy... za lat pięć o naszych możliwościach importowych, o powodzeniu naszego handlu zagranicznego, o możliwości modernizacji przemysłu będzie decydował również eksport artykułów rolnych“.

granicznych sięgną nie tylko najwyższych stawek, ale będą miały zapewniony bezkonkurencyjny zbył.

Ale czy dlatego mogłeś — wróciwszy z Anglii — zacząć od zielonej? Najżywniejsze sprawy wsi i w kraju i zagranicą rozstrzygają się na wyspach czarnych miast, fabryk i kopalni.

Kiedy po miesiącach mnie z kolei przychodzi pisać o Anglii, również nie zaczę od zielonej, choć ją ujrzałem najpierw, z samolotu. U nas już jesień późna, pola zorańe i szare, gdzie kępy drzew tam nagie konary i zamieć złotych liści. A tutaj kraj łąk soczyste zielonych, objętych żywopłotami i drzewami, wśród których nawet dęby, nawet topole i klony... zielone, wciąż jeszcze zielone.

\*

W pismach naszej emigracji — kazania! „Era przemysłowa wzmocniła żądzę podboju przyrody... Psychika oracza, rzemieślnika twórcy, miłośnika opornego surowca czy niepodległej natury — zanika... Zamiat miłości — paragrafy ustaw — taka jest tendencja, wytwarzająca się w nowych formach współżycia społeczno-gospodarczego... Wiara w Rozum prowadzi do takiego pomieszania języków, jak w biblijnej wieży Babel“.

(Miesięcznik „Przed Świtem“)

„Albo świat zawróci z tego niebezpiecznego kierunku ślizania się nad przepaścią moral insanity albo też społeczność narodów cywilizowanych przestanie istnieć“.

(„Dziennik Polski“)

Przyjacielu, Anglia ma w Londynie swój Hyde Park, w którym z ławek głoszą najrozmaitsi prorocy i sekciarze, ten sam park służy również dla niekierujących się par. Obłęd i szaleństwo, które nie przynoszą szkody, są tu tolerowane, ale też nikt nie bierze ich na serio.

Oceń sam, gdzie mam umieścić dialektykę myślenia emigracyjnego, czy bliżej Hyde Parku czy Charing Cross? Na Charing Cross miesiąc się dzielnicę księgarń. Oglądam nowości grube opusy: „Technic and Civilization“ Levis Mumforda (Technika i cywilizacja), oraz jego „The Culture of Cities“, „The Romantis Agony“ Ma-

Anglia to oceany. Oceany od wieków. To dlatego kiedyś kraj najwcześniejszej rewolucji burżuazyjnej w Europie, najwcześniejszej rewolucji przemysłowej.

Trzymam w ręku strzęp gazety emigracyjnej, w której wypisano, że jeśli się nie odrodzi „psychika oracza“ i „rzemieślnika twórcy“, jeśli się nie uwolni miłości ludzi od „paragrafów“, nie zepchnie rozumu na podrzędne miejsce, to świat cywilizowany runie w przepaść“.

Na dole, pode mną, chłopcy poszukują materiałów na improwizowane okręcki. Rzucam im emigracyjną gazetę. Będzie żagiel na nowy statek.

To, co w tej gazecie spadło na brzeg, u nas w Polsce jest prawie rzeczywistością. Zniszczenia wojny cofnęły nas na pozycję materialnej egzystencji dwa razy gorszą, niż była przed wojną. A któż w Polsce lat przedwojennych mógł powiedzieć, że jest dobrze? Masy narodu na pewno nie. Odnowiła się z konieczności „psychika oracza“, jak „basoniów“ na Podkarpaciu, którzy siebie tej wiosny do pług zaprzęgali, odnowiła się w niejednej wsi przyczółka sandowerskiego „gospodarka naturalna“ wobec całkowitej dekapitalizacji gospodarstw wiejskich. Zniszczeni „paragrafom“ szaleńcy ostrzeliwali chłopca przy dzieleniu ziemi, przy siewie, przy zakładaniu spółdzielni, a ich mocodawcy ujadają na dyktaturę rozumu, wiedzy i planu, ci „miłośnicy opornego surowca i niepodległej natury“. Czy z tego wynika, że miałem angielskiemu dyplomacie odpowiedzieć — „głupstwo — wagony kolejowe, samochody i elektryfikacja, nam idzie o człowieka, u was może wzorem narodowym jest oficer marynarki handlowej, u nas — oracz, rzemieślnik, u nas piękno miłości ludzi prostych w obliczu niepodległej natury; my ducha rzeźbimy, którego chamstwo i kulturowość uprawiających handel i przemysł zepsuło nam, odnarodowilo...“?

\*

Oto zaś jak wyglądają dzisiejsze „ubogie chaty wiejskie“. Istotnie, są to najskromniejsze budynki, jakie można zobaczyć we współczesnej Anglii.

że na portrecie, jaki w urzędach i miejscach publicznych można oglądać, Król Jerzy występuje w mundurze oficera marynarki? Czy tu o królewskość czy o angielskość idzie? Młody, typowy Anglik.



Hodośla pomidorów w Anglii.

Wzór nie do podziwiania, wzór do łatwego, powszechnego naśladowania. 25% dochodu narodowego przynosi Anglii eksport. 25% to 3 miliardy funtów, to ponad 3 biliony złotych polskich.

sto Coventry (historyczne, ładne, 200 tys. mieszkańców) Niemcy zbombardowali pokazowo — zniszczenia 40% — odbuduje się w ciągu 4-5 lat za sumę 40 milionów funtów. To znaczy za sumę równą nasze-

\*) Stanisław Cieślak, wiceprezes Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej.

Dm 17012

mu rocznemu budżetowi całego państwa polskiego.

W Szkocji wokół Edynburga i Glasgow stawia się 500.000 domków jednorodzinnych dla robotników. W ciągu dziesięciu lat budowa zostanie ukończona. Oglądałem już postawionych parę tysięcy. W domu 4 pokoje i kuchnia. Elektryczne urządzenia świetlne, ciepłe i kuchenne. Pokój na kolację i lunch, na śniadanie itp., sypialnia i pokój dla dzieci. Fotele, dywany, radio i kominek. Robotnik płaci 2 funty miesięcznie to znaczy dziesiątą część swego zarobku. W ciągu 60-ciu lat spłaci koszt domu. Gdyby u nas podjąć podobne przedsięwzięcie, musiałyby zaistnieć dwa warunki: 1) aby robotnik zarabiał 10 razy więcej, 2) aby państwo stać było na rzuconie w ten długo-terminowy kredyt 500 milionów funtów, tzn. pół biliona złotych, tzn. 10 razy więcej, niż wynosi nasz budżet. A przecież mówię tylko o jednym z kilkudziesięciu ośrodków budownictwa mieszkalnego, jakie w Anglii się planuje i realizuje.

Byłem, w fabrykach samolotów. Widziałem „smoki” pasażerskie na 30 osób do lotów transoceanicznych na dalekie lądy, o szybkości 500 km na godzinę. Nazywają się Yorki, Tudory, Lancastery. Koszt takiego olbrzyma — 100.000 funtów. W jednej tylko fabryce wyprodukowali ich po wojnie już 300 sztuk, tzn. za sumę 30 milionów funtów, czyli znów prawie za sumę naszego budżetu państwowego. Co tydzień wychodzi gotowy jeden taki smok, aby zacząć krążyć nad 2/5 kuli ziemskiej w angielskim posiadaniu. Przed półtora wiekiem bez nich Anglia trzymała w ręku dalekie lądy. Dziś koszt szybkości i ilość tych Yorków i Tudorów jest widocznym symbolem postępu w światowym tempie produkcji i obrotów handlowych, widocznym symbolem zaawansowanego państwa epoki przemysłowej. A przecież w sytuacji angielskiej jeszcze to mało. Stany Zjednoczone przewyższyły ją w lotnictwie. Okrętów posiadają dziś tyle ile Anglia i inne państwa razem wzięte. Stąd podczas wojny nowe straty, jakie poniosła Anglia w terytoriach i bazach dla okrętów i samolotów na rzecz Stanów Zjednoczonych, stąd dalsze zagrożenie dla jej posiadłości, a to znaczy dla tych zawrotnych sum obrotów i zysków, a to znaczy dla dotychczasowego o nie krótkiej tradycji standardu życiowego Anglika. Oglądałem fabryki samochodów, skąd 150 sztuk wyrzuca się co tydzień na rynek. Fabryka jest w stanie produkować 300 na tydzień. Tempo zwolnił brak części materiałów, brak nawiązanych po wojnie wszystkich koniecznych umów importowych. Rocznie fabryka daje 7000 samochodów. Kosztują drogo — 500 funtów (pół miliona zł.).

Byłem w fabryce miar i wag. Przypomnij sobie wagę w naszym małym miasteczku. Gdyby nie przepis, kusiłby się o jej zrobienie pokątny blacharz i ślusarz. Takie nic. Tu wypada zmienić krajowy pogląd. Są wagi od „elektronów” niemal i są od pociągów i okrętów. Mechanizmy. Wiele serii a z każdej tyle sztuk, żeby opanaować rynek naszego miasteczka i w dalekich Indiach. 12 km kwadratowych zajmuje kilkadziesiąt hal tej fabryki. Małe miasto. W przekroju: przemysł hutniczy, drzewny, chemiczny, stolarnia, hydraulika, wyrób części metalowych, ciecie i drażnienie blach różnej grubości, wiertarki, obrabiarki, lakiernictwo, kreslarstwo, sztab inżynierów, tysiące robotników — a to tylko idzie o... wagę.

\*

Jak sobie dać radę z gigantomacją 4-czł. angielskich, wyrażających ilości towarów, maszyn, urządzeń, kosztów, obrotów handlowych i zysków? Co sądzić z zestawienia tamtych i naszych liczb? Czy nie jest przysłowiową pracowitość naszego chłopca? Czy nie zdzierła się nasz nauczyciel? Nie zajeżdżał na śmierć nasz doktor na prowincji? Czy setki tysięcy bezrobotnych nie mówiły o wielkim wysiłku tych, którzy pozostali w warsztatach pod nieustannym zagrożeniem wyrzucenia na bruk? A jakie summa summarum osiągnięcia, jaki majątek narodowy, jaki dochód społeczny, jakie zarobki, jaka stopa życiowa? Polscy żołnierze, którzy walczyli na Zachodzie, mówią przez zęby: „Trzy wieki spokoju. Czy w tym czasie zasnali Angliki wojny, okupacji, zaboru na wyspie?” To prawda, ale ona nie tłumaczy nawet w części tych liczb. Dopowiadają: „No, cóż, kolonie, oceany”. I to prawda. I to znaczy wiele, może nawet wszystko, ale w jakim wypadku? Kiedyś papież dzielił nieznaną bliżej kulę ziemską między Hiszpanię i Portugalię. Na dalekie lądy sięgnęła Francja i Holandia. Mieć a zachować i mnożyć zyski to różne zgola umiejętności. Wymknął się świat z rąk wielu państw, Anglia do dzisiaj trzyma w garści potężny jego kawał, choć coraz słabiej. Stany Zjednoczone do niedawna nie miały żadnych dalekich lądów, a przecież ostatnią poważną przewagę pozycji ekonomicznej Anglii nad Stanami Zjedno-

czonymi odnieść trzeba do połowy wieku XIX, do epoki Królowej Wiktorii, do czasów Dickensa. W końcu wieku XIX daje się już zauważyć mała przewyżka na korzyść Ameryki. Po tej wojnie Stany Zjednoczone mają 3 razy większą ilość ludności i spławu żelaza, półtora raza więcej wydobywają węgla, 4 razy większą produkcję elektroenergii i przeszło 10 razy większy dochód narodowy.

Wróćmy do angielskich liczb w porównaniu z naszymi. Wskazują one, w przeciwieństwie do Polski, na kraj bardzo zaawansowany w cywilizacji technicznej, na kraj o stuletniej tradycji narodu przemysłowego. Tyle razy u nas bogactwo i potęgę Anglii przypisywało się jej parlamentarnemu ustrojowi, warto byłoby wreszcie przypisać ją temu, z czego ona naprawdę pochodzi: wyższej organizacji ekonomicznej opartej o powszechnie zmchanizowaną, fabryczną produkcję towarów i środków produkcji.

\*

Liczy tylko do pewnych granic oznaczają ilość, powyżej wskazują na inną jakość. Dlatego kolosalny wymiar cyfr angielskich nie może być porównywany z niskim wskaźnikiem naszych na płaszczyźnie bezwzględnej, ilościowego zestawienia. Gdybyśmy tak postępowali, dla imponującej różnicy nie byłoby żadnego logicznego wyjaśnienia. Musielibyśmy uciec się do wiary w zdolność narodu angielskiego do tworzenia cudów. I tak się nierzadko sądziło u nas. Bywał to podziw, zamykający sobie zrozumienie przyczyn sukcesów tego, kto imponował.

Gdybyśmy mieli pracować tak, jak pracowaliśmy, nie zbliżyłyby cyfr naszych osiągnięć do cyfr angielskich. Trzeba pracować inaczej. Trzeba przejść do innej jakości, do innego systemu produkcji, a wówczas nasze wskaźniki na całym froncie pracy skoczą raptownie w górę. Ten inny system nie jest angielskim sekretem, choć niewątpliwie Anglia pierwsza była w Europie jego inicjatorką. Na oceany wyprowadził ją, jak wiele nowożytnych narodów, rok 1492, rok odkrycia Ameryki. Użyć tych szlaków musiała już jednak inaczej, niż używały ją przed tysiącletniemi Chinami, Egipcjanami, Grecją, Rzymem, a nawet w okresie wojen krzyżowych Wenecją. Wyjazd Anglii na oceany poprzedzili: Galileusz, Kepler i Kopernik. Inne spojrzenie na kulę ziemską, na świat przyrody i materii. Europejskiemu obejmowaniu dalekich lądów towarzyszył rozwój nauk przyrodniczych i ich praktyczne, techniczno-przemysłowe zastosowanie. Wartość tych lądów rosła i odsłaniała się proporcjonalnie do nowych narzędzi i metod czerpania z nich bogactw.

Jakże słusznie prof. Chałasiński zwraca uwagę na złożoną strukturę osobowości społecznej Józefa Conrada. Nie był on — oficer marynarki angielskiej na dalekich lądach — wierny tylko swoim akcjonariuszom, był również wierny okrętowi. A to nie to samo. Pierwsza wierność odnosi się do ustroju kapitalistycznego, druga do... cywilizacji technicznej. Warto pod tym względem porównać Dickensa z Conradem. Pierwszy w połowie XIX wieku, drugi u jego końca. Pierwszy, kiedy Anglia przoduje światu, drugi kiedy wskaźniki produkcyjne Anglii i Ameryki już się zrównują. Pierwszy, kiedy przemysł nie nabrał jeszcze rozpędu, a opanowała i wyprzedzała go wiara w demokrację mieszczańską, drugi, kiedy Conrada, zbiega z kapitalistycznej demokracji Europy, poprzedził Verlain'e a gonili Gogin, wszystkich zaś oczekiwał kontrast cywilizacji przemysłowej z cywilizacją społeczeństw pierwotnych.

Dickens nie jest drażniony pazurem industrializmu, bo i skądże, za jego czasów, kiedy po drogach kursowały dyliżanse, a każdy trakt prowadził do oberży? W jego powieściach jest nastroj rewolucji burżuazyjnej w jej ostatnim etapie, jeśli za pierwszy przyjąć czasy „okrągłych głów” i radykalnego skrzydła „równościowców”. Cała ta tradycja z przed wieków zbliżenia mieszczaństwa z ludem odzwęca na kartach książek Dickensa. W dzieciństwie rozczytywał się w powieściach historycznych. Był postępowcem, bo trzymał z gminem. Ale obraz świata jemu współczesnych modelował nie w przyszłość, modelował na wzorce przeszłości. Obieżyświaty, których spotyka pan Pickwick, to bracia Sowidrałów flandryjskich, co to na obiad jadałi tłustości z kaparami, a sam pan Pickwick, wznowiony „okrągły łeb”, sięga co chwila filantropijnie po książeczkę czekową. Jakby w Dreugłowski obrazek obyczajowy, obrazek średniowiecznego kiermaszu wtłoczono bohaterów rewolucji burżuazyjnej. Najwięcej szczęśliwego hałasu wnosi tu ten, kto miał się na tym sojuszu najbardziej zawieść — lud. Dickens zawierzył liberalizmowi, historia odebrała wiarę w jego nadzieje. Inaczej było z Conradem. Industrializm przez następne pół wieku szeroko się rozprzestrzenił i wzrósł.

Dzieje Conrada-marynarza wpisane są w ten okres industrializmu, który zdecydował o współczesnej cywilizacji świata. I nie jest to paradoksem, że Dickens uwiarył się z panem Pickwickiem pod Londynem dalszy był od wyobrażenia sobie przyszłości Anglii, niż na okręgach świata zagubiony kapitan statku, Conrad.

Drogi przyjacielu, kogo byś zalecił młodzieży wiejskiej? Dickensa czy Conrada? Oczywiście, Conrada! Wydaje mi się, jakbym słyszał Twoje argumenty. W dalekim, fantastycznym nieomal świecie, gdzie króluje przyroda bujniejsza i agresywniejsza, niż u nas na wsi, z czym zdecydowałiby się nasi wiejszy czytelnicy być solidarni? Z naturą czy z okrętem? Czy na tej scenie powtórzyliby: „Za wszystko Bogu dziękujesz, sobie nie przypisujesz” — czy też Conradowską dewizę: „Czyi lub giń”? Czy nie dostrzegliby, że te lekarstwa, te narzędzia rozmaite, przywiezione na okręcie, rozstrzygają tam o życiu, o lepszym, o europejskim życiu? Czy ten okręt u brzegów dalekich lądów nie otworzyłby im oczu na możliwość dalszych rynków zbytu? Przecież całą naszą ambicją na najbliższe lata jest, aby masy chłopskie poczuły się tak w powiecie, jak się czują chłopcy we wsi. Pomyśl — (to Twoje słowa) — od wsi do powiatu! Chłop, który potrafi objąć myślowo gospodarkę powiatu i radzić nad nią, jak dotąd u siebie na gospodarstwie! Jakież tam wówczas elementy nie wejdą w grę? Na miejsce chaosu szachownicy, plan wianowania w całość zbóż, hodowli, jarzyn, sadownictwa, przetwórci fabryk, cukrowni, cegieli, młynów, tartaków. Wyobraź sobie tego rozmiaru samorząd rolniczy. Dojrzyj zawiązki branżowe, dla których ambicji i potrzeb państwo musiałoby spieszyć z nadbudową krajową, czynić umowy eksportowe na zagraniczne rynki. Dla mas chłopskich, patrzących z krzewidzi powiatu, Conrad przestałby być powieściopisarzem, a stałby się zwyczajnym maklerem światowych rynków. I oto nam idzie, aby okręt Conrada u dalekich lądów młodzież chłopską wzięła na serio. Aby on przyciągał jej wyobraźnię, jak magnes, aby te odległości, przestały być dla niej fantastyczne. Nacelowana na nie realnie, wyobraź sobie, jak będzie organizować rolnictwo, jak wiązać się z przemysłem, jak według giełdy cen wybierać rynki zbytu, jak się na nie nastawiać i walczyć o ich zdobycie i utrzymanie?

\*

Od stu pięćdziesięciu lat każde następne pokolenie Anglików porusza się w coraz bogatszym garniturze urządzeń technicznych, w coraz bardziej skomplikowanych fabrykach i zakładach pracy. Wystarczy się przyjrzeć architekturze miast, aby odtworzyć sobie historię narastających etapów. To tylko niektórzy nasi najwierni ludowcy uważają, że chata nie zabija w nas człowieka, ale zabija go kamienica. Widok jakiegoś nastrojącego miasta angielskie mówi o czymś zgola przeciwnym. Od budowlu z XI wieku posuwamy się do architektury o 2 stulecia późniejszej, potem o wiek, potem o pół, a wreszcie cały XIX wiek stoi przed nami jak na dłoni. Daty biegną najpierw co 30 lat, potem wyróżnić można każde następne 20-lecie, 10-cio i 5-cio lecie „Czyi albo zgiń!” oto dewiza. Przez te domy płynnie wartki nurt historii choć wolniejszy od amerykańskich rekordów przebudowywania się. Czy w galerii tych domów wyraża się ubóstwo duchowe człowieka, czy przeciwnie — rosnące bogactwo duchowe, jego energia coraz to lepiej się organizująca? Mam w pamięci drugi kontrargument: standaryzacja, ten owoc techniki przemysłowej? Oczywiście! Tylko dlaczego to standard został przypisany miastom i industrializacji? Cóż z tego, że oglądam tu całe ulice, całe dzielnice domów tego samego modelu. A na wsi nie ma standardu? Chłupa do chałupy nie podobna? Co innego wewnątrz? A w Galicji do lat 80-tych standard drewnianych pługów? A standard wiedzy wyłącznie religijnej? A jeśli w r. 1938 mieliśmy na 20 milionów chłopów wszystkich 10 tysięcy po maturze to jakiż to był standard? W tym rzecz. Od standardów nie da się uciec społeczeństwu, ale jest obowiązek wyzwałać się z gorszych standardów na rzecz lepszych.

Kiedy zwiedzałem domki dla robotników, byłem szczerze zachwycony: niechby nam pisarzom takie domki sprezentowano! Ciekawił mnie każdy szczegół, rozmarzałem się przez długie minuty w każdym pokoju, ale urzędnicy angielscy, którzy już nie jedną wycieczkę obwozili po tych domkach, jeszcze w pół godziny po naszym zejściu do samochodów, latali z piętka na parter, gmerali w kuchni i dysputowali zawzięcie.

Przyjacielu, wiesz, jakich mam opozycjonistów. Oni mówią o kulcie rodziny chłopskiej, ale jak jest w chałupie, tej instytucji rodziny? Na jakim ona planie? Tu w Anglii na pierwszym. Tylko bez cudów. To znaczy, że Bóg się rodzi nie byle gdzie. Bóg się rodzi tam, gdzie łazienka i fotele. To

jest ich ambicją. Możnaby pytać od kiedy? Od stu lat? Ale już w XVII wieku są domy chłopskie — piętrowe. Idea wygody i komfortu rodzinnego to nie wyraz gnuśności, to w Anglii motor postępu technicznego, wydajniejszej produkcji. I nie pole, nie ziemia będzie nas chłopów mobilizować. W służbie ziemi my wegetujemy. To dom, to szczęście rodziny może wymusić na nas cuda na polu!

Na wielkiej wystawie „Co Anglia może zrobić”, 30 tys. ludzi dziennie. Kolejki są tak długie, że na wystawę wchodzi się z reguły po paru godzinach czekania. Angliki oglądają towary, które idą na eksport. Wielka Brytania musi podwoić eksport, jeżeli chce wwozić taką ilość surowca i żywności jak przed wojną. Chce — znaczy to — musi. O tym przekonywują tłumy zwiedzających. Co innego poczekać, a co innego nie mieć wcale. Angliki oglądają na wystawie upragnione rzeczy codziennej potrzeby, z którymi muszą się teraz rozstać, aby je znów dopiero w przyszłości osiągnąć. Cały naród uczestniczy w walce o rynki zbytu. Dlaczego? Bo jest długoletnim wychowankiem niezliczonej ilości instytucji industrializmu. Fabryki, domy handlowe, banki, sklepy, kolejki podziemne, wszystkie środki lokomocji, asfaltowe szosy, przecinające wieś to są te instytucje cywilizacji technicznej. Każdy Anglik pozostaje pod bezpośrednim wpływem kilkudziesięciu z nich, dlatego nie chce spaść ze standardu życiowego, jaki naród już osiągnął. Dlatego biegnie zobaczyć co angielski przemysł wyprodukował, mimo, iż wie, że przecież nie dla niego, choć on sam w tej produkcji zdawał wysiłek.

Drogi Przyjacielu, przypominasz sobie po 20-tym roku „Piasta” — politykę „drogiego chleba”? Politykę zachłanności za możnego włościainstwa. Chciało ono zniesienia ceł przywózowych dla tańszych fabrykatów zagranicznych. Co w skutkach unicestwiłoby nasz przemysł i postawiło przed widmem głodu masy wiejskie, dla których tani chleb nie mniej jest ważny, jak dla robotnika.

W tym porównaniu zawiera się odpowiedź na dręczące pytanie: dlaczego jest taka straszliwa dysproporcja pomiędzy naszym majątkiem narodowym a angielskim, pomiędzy naszym dochodem społecznym i naszą stopą życiową a w Anglii?

My byliśmy do wojny w swej narodowej postawie wciąż nie związani z cywilizacją techniczną. Dramat chłopski ostatnich lat między wojennych szczególnie nabierał ostrości. Historia i warunki naszego bytowania tłumaczy naszą obojętność, niezrozumienie a nawet obronę przed industrializmem, a równocześnie każdy akt choćby tylko obojętności był tragicznie wymierzonym ciosem przeciwko nam samym, więcej, był wymierzony przeciwko narodowi, któregośmy nie nauczyli kochać i bronić własnym życiem na polach bitew, a nie wiedziliśmy, jak budować, jak umacniać jego suwerenność w czasach pokoju. Rozpiętość przytoczonych liczb, ona zagraża suwerenności. A do zmniejszenia tej rozpiętości niema innej drogi, jak ta przez którą wzdrażał się Niecko, a która nie budzi w żadnym Angliku ani cienia wahania, ani cienia wątpliwości.

\*

Stany Zjednoczone prześcignęły Anglię w rozwoju ekonomicznym z dwóch głównych powodów: 1) Wstąpiły na drogę industrializacji o wiele później, nie były dlatego obciążone starą techniką, 2) przez długi okres cierpiały na brak rąk roboczych i wysokie ceny płac, był to dostateczny bodziec w rozwoju kapitalistycznym „do zastosowania bardziej skomplikowanych, doskonalszych maszyn”.

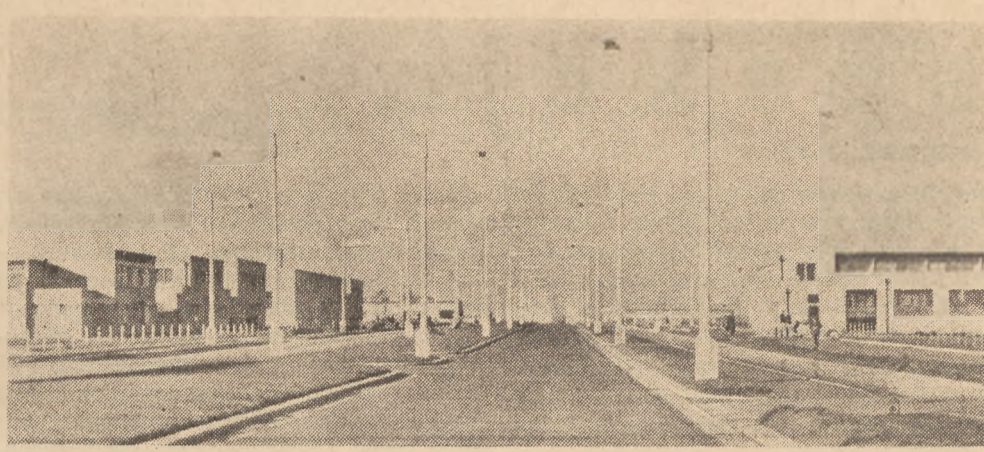
W tej chwili Anglia przechodzi nowy kryzys. Koszta wojny, jako nie najlepszego tym razem dla niej interesu — wynoszą około 8 miliardów funtów. Te straty odebrały jej możliwość konkurowania ze Stanami w eksporcie kapitałów. Jest konieczny nawrót do handlu samymi towarami, bez torowania sobie dla nich drogi inwestycjami kapitałowymi.

W okresie imperialnym rozbudowała Anglia aparat produkcyjny. Jest on teraz jej ostatnią szansą ale nie nadającą się w pełni wykorzystać. Pojemność gotowego aparatu jest większa od ilości możliwych rąk roboczych. Tak olbrzymi aparat, a w wielu dziedzinach bardzo przestarzały, (kopalnie, fabryki samochodów) nie może być unowocześniony, tzn. przystosowany do mniejszego rynku robotniczego z braku kapitałów inwestycyjnych. Dlatego wiele z cyfr, które mi wliczano, nie będą osiągnięte. We wszystkich fabrykach niedostatek pracowników. W przemyśle węglowym brak 100.000 górników. Ujawnia się społeczno-moralna sprzeczność pomiędzy wiernością Anglika dla cywilizacji przemysłowej, a wiernością do nawyków kapitalistycznych. Pierwsza każe produkować, druga każe wybierać pracę, targować się, nie spieszyć. Ministerstwa i wielkie przedsiębiorstwa ściągają Anglika reklamami. Trafiają do

jego zmysłu interesu. Ale właśnie te reklamy są świadectwem faktycznego stanu nazbyt niskich ofert, aby sam business mógł zmobilizować do pracy, do wysiłku w krytycznym, niewątpliwie dla Anglii momencie.

Zróbmy, Drogi Przyjacielu, porównawczy bilans... U nas dziedziczymy stan nadmiaru rąk roboczych, ale nie dziedziczymy ustroju kapitalistycznego. Czy będą zatem obowiązkiem prawa zachowania postępu technicznego? Nie, bo wprawdzie i w ustroju kapitalistycznym wszyscy mogli być zainteresowani postępowaniem technicznym, ale kapitał nie był zainteresowany losem wszystkich. Postęp dokonywał się w granicach interesów garści przedsiębiorców. Nasze zaś reformy wyznaczają planową, społeczną gospodarkę narodową. Granica interesów rozszerzyła się na cały naród. Plan gospodarczy wspiera się na reformach, które unicestwiają możliwość skupienia kapitału w prywatnych rękach do takiej wysokości, jaka zagrażałaby organizowaniu życia gospodarczego w sprzeczności z potrzebami mas narodu, jaka zagrażałaby równomiernemu rozłożeniu dochodu społecznego. Jest nowa w naszej historii sytuacja. Da się ją określić tak: teraz każdy obywatel jest bezpośrednio zainteresowany w powiększeniu majątku narodowego.

Rzeczą najbardziej wymagającą spopularyzowania staje się wiedza o ekonomii narodu. Najgrubsze zagadnienia gospodar-



Coventry, drugorzędne miasto angielskie, częściowo zniszczone wskutek bombardowania, będzie odbudowane za sumę równą budżetowi państwa polskiego. Tak wyglądają peryferia — nawet nie przedmieście, a droga dojazdowa, wiodąca ze wsi, — a więc część miasta stosunkowo zaniedbana.

cze: eksport, import, hierarchia w produkcji przemysłowej, drogi rolnictwa, osiągnięcia spółdzielczości, powinny być tak trwale ulokowane w świadomości jak elementarz. Wiem że byś mi w tym miejscu przerwał. Bo zapominam o różnicy: w Anglii od stu lat wszyscy myślą kategoriami cywilizacji przemysłowej, my stajemy dopiero na jej progu. Jak rozentuzjuszować młodzież wiejską do informacji takiej np.: Na Ziemiach Odzyskanych w ciągu planu

trzyletniego osiągniemy 70% nawozów sztucznych. Co to znaczy? Znaczy, że w stosunku do posiadanego okręgu Chorzowskiego (30%) przybędzie nam nowych 70%. Czy to jest tylko wiadomość, czy hasło do mobilizacji planowania rolniczego o nowych perspektywach. Czy to jest tylko wiadomość, że pod Szczecinem uruchamiamy fabrykę benzyny syntetycznej, która przy przeróbce 3 milionów ton węgla rocznie (a wydobywamy w tym roku 46

milionów ton) da 600 tysięcy ton benzyny, co pokryje z nadwyżką nasze zapotrzebowania. Czy ta wiadomość nie pozostaje w związku z życiem spółdzielczości wiejskiej?

Widzisz, sam się zapalas i z przeczenia przechodzisz do... propagandy postępu technicznego. Oczywiście to jest nasz największy problem. W ustroju kapitalistycznym niepostrzeżenie prywatne kapitały włączały społeczeństwo w obrót industrializacji niezależnie od jego zgody czy nie. Wrasła ono nieświadomie. Przed nami staje dziś obowiązek świadomego wtargnięcia w cywilizację techniczną. Wtargnąć musi cały naród. Bo tylko w tym postępie jedyna szansa naszego dobrobytu i naszej suwerenności.

Jest więc tak, że nie możemy czekać na wpływ samego działania procesów gospodarczych, musimy nowym wychowaniem do nich zbliżać. A wiadomości, które podałś tytułem przykładu, jeśli dojdą do terenu, rozgrzane zapalem, nie bój się, będzie odzew nie uczniów, ale działaczy, którzy w perspektywie naszych generalnych możliwości gospodarczych podejmą nowe prace lokalne, i rozwiną się takie formy samorządu gospodarczego, jakich stara tradycja nie przewidywała. Nie separujące się i prowincjonalnie zamykające, przeciwnie, będą się włączać w procesy ogólnokrajowe, będą dynamizować centralną odbudowę aparatu produkcyjnego. Przecież Ty to robisz!

Jan Aleksander Król.

Stanisław Pięta

## PARTYZANT I DZIEWCZYNA \*)

### CZEŚĆ V.

#### I.

Niemcy utrzymali się na Sanie pod Sandomierzem — i front, który gwałcił się, łamał, jak rzeka płynął co dnia, nagle runął. Przyszły nad Wisłę jankrów pułki świeże i bitwa w huk, w tętentie wstała krwawa od ognia.

Sędziszów żył z godzinę w wolności, lecz wieczór naraz runęły nań pociski, jakby z tysiąca dział bliskich. Pożary poniosły się — płacz, jęk bit... Luna, jak mara, pełza. Liście, kwiaty, owoce wędły w dymie śliskim.

Rosjan było nie wielu, cofnęli się zaraz w lasy — i oto Niemcy nazajutrz wracali znowu z rana. Szła piechota, jechały czołgi, we wsi jak pstry pasy wylży się zrudziła droga, szkielety domów raną zdawały się być oczom. Tu człowiek, tam pies spoczywał z rozdartym brzuchem i muchy jedzą zczerniałe mięso. Przed kościołem leżała wciąż dziewczyna jeszcze żywa. Omijały ją konie Niemców, krwi ślady z łękiem wężąc.

#### II.

Front przesunął się pięć kilometrów w głąb czarnych lasów. Nacichło — i naród mógł policzyć swoich zabitych i rannych. Zginął Stach Kania, Kozdęba, Piotr Wolasów. Dziadkowi Cibie urwało dłoń, zraniło twarz.

#### III.

W ów wieczór zginęła i matka Marysia, Dorota stara. Był to pierwszy sierpnia, pomrok niebieski, cudny. Marysia kryła się, bo pociski biegły z łoskotem czerwone. Wybuch raz po raz na skraju wsi dudnił. Matka spojrzała w niebo, lecz zdjęło ją przerażenie i poczęła biec, opędzając się w grozie rękami. Leciła, leciła i od kuli upadła na ziemię. Ach, zadrzeń pod jej rozdzierającymi krzykami.

Gdy przyszli ku niej, zerwawszy się z ziemi — żyła jeszcze i majaczyła o synu, co w Anglii walczył pono. Jednak jej oczy spełzły zastygły szklisko na wietrze, tak jakby wciąż dziwiły się podniebnym, straszonym lotom.

#### IV.

Na trzeci dzień Marysia i ojciec zakładował na wóz trumnę i wśród słońca powlekli się przed siebie. Nikt nie szedł za Zmarłą, tedy i wiatr smutnie się zalił i monotonna muzyka ulatywał po niebie. Wykopali grób i na spoczynek złożyli ciało. Potem zaś w ciszy jeli trumnę przysypywać piaskiem. Pracowali tak ofiarnie może z godzinę całą. Wrony, czując trupa, kołowały nad nimi z wrzaskiem.

#### V.

Cztery dni trwała bitwa w lasach, lecz naraz znów czołgi rosyjskie wjechały na pola sędziowskie, z nimi gromadka wojska szara. I teraz bój wybuchł nad rzeczką, gdzie topole rosły, a tor kolejowy skręcał na zachód. Już w nocy część wsi z dworem zdobyli Rosjanie. Jednak Niemcy utrzymali wzgórze i trochę domów przy nim. Nie uległ ten stan dwa dni zmianie.

#### VI.

Dom Kowalskich i rzeczka były w rosyjskich rękach. Posypał się na nie ogień piekielny dział wszelkiego kalibru. Z jabłoni, śliw niskich zostały tylko widma w dali. Łan lucerny, który rósł obok, poryty był, jak po ziemi trzęsieniu. Niemcy szli do ataku. Kwik, rzenie koni słychać było. Czołgi łbami ciężkimi wychodziły, tłamsząc płacz ludzki i jęczenie. W świetle księżycy bój wyglądał tak upiornie. Zdawało się, że pola płaczą, las — nie ludzie. Gwiazdy spadały, urągając tylko wojnie. Trawy, kwiaty, liście zdołały wszędzie zrudzieć.

#### VII.

Domostwo Marysia stało jeszcze bez ciosu. Wioska wyludniła się, ludzie w lasy uszli. W piwnicy ciemnej Marysia leżała bosa, nasłuchując grzmotu strzałów w wilgotnej głuszy. Ojciec jej wciąż jeszcze chodził po dworze. Nawet głowy nie schylał, choć świstały kule. Lis Bartek też na obejściu o każdej porze coś robił — niósł wodę, poprawiał pszczołom ule. Niekiedy, gdy nacichało, było tak dziwnie. Żołnierze rosyjscy grali na harmonii, gruszki jedli, żartowali z siebie, śmiejąc się silnie. Kot zbiegł nagle w pawim oku z grzadek pietruszki...

#### VIII.

Piątego sierpnia Niemcy przypuścili atak najcięższy z wzgórze. Kilkanaście minut były działa i naraz w wioskę runęła piechota. Zmierzch był dopiero i światło jeszcze się wilo...

Już pierwsze strzały były celne, padły w stajnię, tuż obok, gdzie trwała, ledwie dysząc, Marysia. Kowalski, widząc pożar, wstał, płacząc błagalnie i wybiegł. W płomieniach chwiała się jego łysa głowa. Chciał ratować sprzęty, wlatywał w ogień... Nie powrócił. Ściany i dach runęły z trzaskiem — i tak szybko otwarło się pole w noc wrogie. Wieś, rzeczka płonęły. Ku nim szły cienie płaskie.

#### IX.

Marysia krzyknęła i za ojcem skoczyła ku stajni. Wybuch już w pierwszej chwili pocisku na ścieżkę ją rzucił. Ziemia ją w lot okryła i przed śmiercią uratowała, jak kołyską. Widziała w mroku niebo nad sobą czerwone, ludzi mówiących. Nie wiedziała, co się dzieje z nią jednak. Sanitariusze wzięli zemdlone ciało jej i ponieśli je przez dymu knieje...

### EPILOG.

#### I.

Słońce świeciło czyste i gałąź jabłoni zaglądała przez okno. Marysia w tę chwilę uniosła wzrok i nie słysząc wybuchów broni, powoli przypomniała sobie dni zawile... W oknie stała sanitariuszka i kiwała ręką żołnierzom, co wsią spaloną jechałi. Kudłate konie rżały, chmurka przeszła biała. Gęsi płynęły po strumieniu w siwej dali.

#### II.

— Dziecko!... — szepnęła Marysia. Sanitariuszka w tej chwili klasnęła w dłoń i śmiejąc się jeszcze, przybiegła, kolebkę przysunęła do łóżka. Spało tam dziecko — u poduszki wdychał świerszczyk. Czując ży, ściśnięcie serca nagłe, Marysia słuchała jak nie o sobie opowiadania. Mówiono jej, że uszła śmierci, że bój za Wisłą już jest. Ona nie mogła strzymać w gardle łkania...

#### III.

— Cóż — rodzice moi nie żyją, dom spalony — ja sama na świecie! — zapłakała gwałtownie. — Kto wychowa tę dziecinę? U szyb zastony sanitariuszka uchyliła wtem i słowa łamanymi wzywała kogoś blisko na polu. — A to przecież wasz mąż jest tutaj!... Co wy chcecie? Marysia nie słyszała już słów w ostrym bólu, krzyknęła, straciła pamięć nagle o świecie...

#### IV.

Gdy się ocknęła, Jaś stał, patrząc w nią uważnie. Na twarzy chudej, pełnej bruzd znać było mękę przebytą. Serce zabiło w niej lekko, raźnie. Szepcząc o dziecku, uniosła ku niemu rękę...

KONIEC.

\*) Patrz początek: „Wieś“ Nr Nr 41 (69), 42 (70), 43 (71)

Józef Pogan

# Inspekcja

(Legenda o reformie rolnej—II)

Gdy Pon Bóg wydoł dekret o reformie rolnej, magnaci i ich obrońcy zaczęli strasnie narzykać i lamyntować, że to wielgo niesprawiedliwość na ziemi się stanie. Więc zjeżdżali się razem, radzili, a chłopów białucili różnymi plotkami. I niektórzy chłopci naprowde baranieli. — Juźci, moze to i niesprawiedliwie — dumali — bo któż to widział, żeby tak nieprawnie krzywdzić właścicieli? Juźci, juźci... Teraz panom odbierają, a późni moze i nom i Bóg wie co z tego moze być? Nawet i księżo to potępią...

Narzykania magnatów usłyszał Pon Bóg. Znowu zawołał świętego Izzydora i godo mu: — Słysz jak na ziemi rwetes? Panowie strasnie krzyco, że im się krzywda dzieje. Słysz głosy, że chłopci mają doś ziemi, ino się nie umlo tak dobrze gospodarzyć jak panowie i nie wycyrpujo tyła z ziemi, co oni. Idź no jescze raz na ziemi i zbadoj, co to ci chłopci mają? Byłeś juz roz we dworze, zbadołeś sprawę między dworami i służbą, a teraz zbados między dworami i rolnikami. Obyjdz bądź któro okolice. Ino w miłg, bo czas uplywo.

Święty Izydor pośpieszył na ziemi. Trafiał w som roz na dwór hrabiego Potockiego w Krzeszowicach. Obeźroł pałac, wszystkie dobra w tym dworze i posed dali ku rzyce Rudawie. Tam se wsiod do łódki, plynie se ku Wiśle i ozglądo sie wokoło.

— Piekno, urodzajno nizina jakoby rajski ogród — dziwi sie święty. — Tu cheba ludziom dobrze. Tu kto by narzykoł na biedę, to by juz śmiertelny mioł grzech.

Zatrzymał łódke i wyloz na brzyg, by sie lepi tymu przypatrzeć. Wysed na wzgórek i zdębiol — — — Bo w ty nizinie, jak ino okiem sięgnąć — — — dwory... same dwory... Osady chłopskie po prostu ginyły w mroku ozłozystyk lip w około pańskich pałaców.

Święty zacon licyć: Krzeszowice, Siedlec, Pisary, Rudawa, Zabierzów, Balice, Kobylany, Więckowice, Karniowice, Bolechowice, Brzezie, Ujazd, Tomaszowice, Modlnica, Wierzchowice i inne. Wszycko, wszycko pańskie...

Pomiędzy dworskimi obsarami, na pagórkach cy na ubocu wily sie wąskie pasymka chłopskich poletek. Niktore syrse, ale w większości — to kiesecki, ze ani tam wozym nie zawrócił, ani krowy na łańcuchu nie uwiązoł, ani bronami w poprzek nie zawlók. Ba, nawet pono pies jakby sie polozył w poprzek na takim poletku, to ogon miołby za miedzą sąsiada.

Święty zaroz sie domyśloł, że tu ludzie muso dorobiac na skromny żywot. Jedni w Krakowie we fabrykach, inni na kolei, ale nojwięc to juz ludziska na tyk syrokiki pańskich polach sie mordowali. Za osiemdziesiąt, a nawet za pięćdziesiąt grosy dziennie wsiakoł chłopski pot w pańsko ziemi.

Święty ruszył naprzód przez te pańskie obsary. Przy szosie spotkoł ludzi z innyk, llychsyk okolice co śli do Krakowa. Boso biedoki lazo... na zgarbiony plecak dzwigajo ciężkie kosyki z borówkami... z ostatnią kwortą mlyka... z uchowanym kurczęciem... z kwiotkami... z mietłami... z cholną... Co kto moze, dzwigo do miasta na jaki gros na sól... na zopolki... na podotek...

A wszycki zadrośnie spoglądajo zamglo-nymi oczami na te wokoło pańskie dobra. Z piersi biedoków unoso sie głębokie westchnienia. Bo wokoło szosy po łąkawk, kaj ino spojrzeć, skubio trowe stada laciatyk, upastonyk krów dworskik.

— Boże, Boże! tyła tu krów, a biedny cłek to nawet jedny ni mo na cym ucho-wać...! — powtorzajo ludziska do siebie z ogromnym bólym w sercak.—Co tu krów... mlyka... masła... a biedok cęsto ino brodatę kozisko doi...

Święty pokiwiał se głową i posed ku Kobylanom. Lezie se pomału, dumo i ani sie nie spostrzyg, ze wsed na prywatno dworsko drogę. Dopiero głos dziedzicki zbudził go z ty zadumy.

— Halo! halo! tu nie publiczna drogą! Tędy nie wolno chodźci! Wrócić natychmiast!

Psiska zawarcały, groźnie, więc święty wrócił sie i septo se som do siebie:

— Aha, toś to ty, jędzo, zastrzeliła swy-go męża, artystę malarza za to, że kochol sie w śtuce, a fernali i robotników nie gnębił tak jak ty.

Od Kobylan Święty posed ku Karniowi-

com. Tam siostra dziedzica chodzi kole dworu. Obie ręce w jedwabnyk rękawic-kak ozłozyla, żeby jo ludzie po nik całowali. No i całowali jo wszycki: starzy, młodzi, chłopci i baby, bo to przecie „ja- nie pani dziedzicka”.

Święty splunął pogardliwie na tako pańsko pyche i udoł sie w strone lasu. Tam uźroł jakiegoś chudogo, obstrzępanego chłopa, co zbierol grzyby. Ale zaledwie poru znoloz, a tu leśnicy nadchodzi i poscuł na nigo psy. Złapały go, skąsały, okropnie, a leśnicy jescze poprawil mu lagą. Lezoł bez dusy pore godzin, dopiero go ludzie zobocyli, przyjechali wozym i zawieźli do dochtora.

Z Karniowic święty Izydor posed znowu pod Kraków, obsed wszyckie dwory, wrócił sie i zased do Wierchowia. Tam sie dopiero przekonał jacy to niktory panowie. Toli dziedzic tego dworu blił bez litości jakiegoś chłopca. Blił, na śmierć blił. Ludzie sie przyglądali, ale sie boli bronil, bo tyn dziedzic postrzelilby zaroz jakby sie kto do nigo przystawil.

Święty otrząsnął proch z nóg i pozegnoł urodzajno, podkrakowsko nizine. Posed przez Bęblo ku Jerzmanowicom. Tam przy krakowskim gościńcu wsed na chwilkę do pamiątkowy kaplicy, kaj to król Jan Sobieski sluchol Msy Święty, gdy ze swymi wojownicymi lućcami dążył na obrone Wiednia. W kaplicy święty pomodlil sie troche i posed do środka wsi, wyloz se na „Dębowa” Góre” i ozglądo sie po okolice.

Cudnie, prześlicnie w około. Od północno - zachodu podkrakowsko nizine zamykajo wioski: Bęblo, Kawtory, Będkowice i Szklary. Tu juz zaczynajo sie starcyste pagórki, gęsto najezone styracymi skałami. Odtąd juz w strone Olkusza rikaj ni ma ani jednygo dworu. Na tyk pagórzystyk i skalistyk ziemlak gospodarujo sami chłopci.

Seweryn Skulski

## Gorzkie prawdy

Zaczęło się od tego, że Pogan rzekomo brudzi w swoje gniazdo, a Bienenick chciałby, aby naszego chłopca i wleś przedstawiać w świetle, w jakim nie jest. Urodziłem się na wsi, żyłem na wsi do szesnastego roku życia, powędrowałem w świat, potem po 26 latach znów powróciłem na wieś i po przeszło ćwierć wieku jakie zmiany zastałem na mojej rodzinnej wsi?

Dawniej dla syna ojciec był ojcem, dziś nazywa się stary. Dawniej córka szła na zabawę czy tak zwaną muzykę tylko za pozwoleniem rodziców, dziś nie tylko na zabawę, ale co dni kilka wychodzi wieczorami, przychodzi o północy i później i o żadne zezwolenie rodziców nie pyta a gdyby ją matka zapytała, gdzie była, matkę skarci. Dawniej dorosły mężczyzna, rozmawiając z kimś bez różnicy czy miał przed sobą podrostka czy starszego, gdy kurzył papierosa, wyrwał go z ust i nogami przydeptał. Dziś podrostek lat czterechce całkiem normalnie z postawą i miną dorosłego mężczyzny podchodzi do mnie 55 lat liczącego i chce przypalić, a ja nie wiem w takim razie co zrobić, samemu sobie dać po pysku czy smarkaczowi, ale widzę, że jeszcze starsi ode mnie dają mu przypalać a często i zakrećci. Dawniej wódkę piło w mojej wsi tylko przy nadzwyczajnych okazjach — dziś pije się, aby pić a pić nie wiedząc nawet co się pije. Szesnastoletni chłopiec idzie na muzykę z butelką w kieszeni, przez całe noce w domu go nie ma, ale ojca to wcale nie interesuje co robi i gdzie chodzi.

Co więcej się zmieniło. Chusteczki dziewczętom zastąpiły berety i kapelusze. Kawalerzy noszą krawaty i kamazsze. Zostawiłem na wsi błoto, zastałem bruk. Wieś zostawiłem bez żadnej organizacji społecznej, zastąpiłem straż ogniową i orkiestrę choć do dziś jak jednych tak i drugich prawie całym i jedynym zajęciem jest urządzenie zabaw z wielką ilością bimbru, bo inaczej na cel społeczny dochodu nie będzie.

Gdy wieś opuszczałem przed ćwierć wiekiem, było na wsi cztery gazety, te domy do których gazety przychodziły, stały się prawie świetlicami. Szczególnie w zimie wieczorami schodzili się do nich sąsiedzi a ktoś na głos czytał. Gdy się na wsi jakaś książka znalazła, wędrowała przez całą wieś. Jeżeli przez wieś wędrował tak zwany

Święty przyglądo sie pilnie Ich osadom i procy. Pod pagórkami i skałami widzi ozrucone w nieładzie, niby kurniki — chatki chłopskie. W Jerzmanowicach, w Będkowicach, w Szklarach, w Raclawicach i Czubrowicach ludzie prawie w cworokak cołgają sie w pole. A jak pracujo tam ciężko, żeby nad nimi nawet ptok zapla-koł. Tu chłopina wiezie w pole moze dwie kupki gnoju. Wywijo batym nad wychudzonymi śkapskami, krzyco na nie, a one roz po roz upodajo na kolana; tam znowu inny chłop zwozi tockami kupe kamieni co jo powódz z góry naniesła na wzorane stajonko i zasypuje nimi na innym stajonku ogromny rów tyz powodzią wyrwany;

— Pieknie tu i uroco lo miescan i turystów — myśli se Święty — ale lo chłopów zakłęto dziura.

Święty Izydor zloz z Dębowej Góry i posed w strone Olkusza. Tam juz nie uźrał takich gór ani skał, ale za to lity piosek. Witaradów, Osiek, Zedrman, Siniczno, Rabszyn, Rodaki i wiele, wiele innyk wiosok — piochy, same piochy... A na tyk pioskak nikoj ni ma dworu, ino same chłopskie osady. Tam dopiero nędza, ze pozol sie Boże! Chatki nizitkie, ze nawet mały człowiek musi sie schylać we drzwiały przy wejściu. Cienkie ściany chat-tek lo ochrony przed zimnym ogacone igliwem.

Po piascystyk ugorak cy wśród jałowcowygo lasu skubio sceciniało trawę ubabrane w gnoju krówska, a najczęście pobekujo bezrasowe owce.

Święty przyglądo sie procy ludzki. Tu jakos babina grabi pod sosynkami igliwie, tam zaś wycino chłop motyką wrzos na ściółke. Kajdzi zaś po piascystym poletku drewniano brone ciągnie bycek. Dwuletni abo moze nawet i starsy, ale jakbyś go, cłek, chycił za ogon, to byś go o roz na plecy zarzucił.

— Nic dziwnygo — myśli se Święty — bo wielez razy to bydle musi o głodzie ciągnąć naładowany wóz ze słomą na pasze sobie z podkrakowskich dworów. Cierpi tu nie ino człowiek, ale i bydle. Chłop orze nim i nuci w głębokim smutku gorzko, przysłowiowo piosynke:

„Oj, liche to, liche, te piascyste kraje,  
Korzec wsiejes, kope zbierzes,

Kopa korzec daje”.

Spod Olkusza święty Izydor wrócił sie i posed w strone Ojcowa. Zaźroł tam do Groty Łokietka, obsed tyz zomek i stamtąd posed na wschód. Przystanył przed pałacym w Smardzowicach, bo go ogromnie zdziwił numer dworu: „22 dwór Czartoryskich”.

Święty spotkoł jakiegoś pańskiego pacholka i objawio mu swoje zdziwienie. A tamtyń odrzek dumnie: — Człowieku, to dopiero cząstka dworów Czartoryskich.

Święty westchnął głęboko i posed dał. Ozglądo sie wokoło po urodzajno okolice. Ziemia tako sama jak w podkrakowski nizinie. Lec na tyk ziemlak znowu... dwór przy dworze... Mało które włoska osieroco bez pana. Grębyńnice, Cianowice, Smardzowice, Czajowice, Januszowice, Minoga, Ściborzycze, Owczary i wiele, wiele innyk. Wszyck kaj nojlepsze polacie ziemi, ozkracyli sie magnaci i cyrpio z ni skarby.

Spod Miechowa święty Izydor udoł sie ku Wiśle. Wsiod se do łódki i poplynął w kierunku Krakowa. Tam se jescze oźroł Wa-wel, kościół Panny Marii, Sukiennice, Floriańsko brame i posed do nieba.

Pon Bóg go sie zaroz pyto, co zbadoł na ziemi. Święty ozłozyl przed Nim narysowan mapę okolice i różne zdjęcia fotograficzne z grubymi panami, z pobitymi chłopami, z bosą biedotą uginajaco sie pod ciezarami kosyków i mietel na plecach... Z potrzaskanymi wozami na pagórzystyk polak... Z chudym bykiem ciągnącym drewniano brone po piosku...

Pon Bóg pooglądoł wszycko, podumol se nad tym i wyrzek:

— Od dzisiejsygo dnia poprzednio wydany przeze mnie dekret o reformie rolnej wchodzi w ZYCIE.

tu „obraźnik” co nosił obrazy świętych i książki z kalendarzami, to zawsze coś sprze-dał. Ubiegłego roku sprowadziłem cztery kalendarze Związku Samopomocy Chłopskiej, nie sprzedałem ani jednego. Oprócz księdza, nauczyciela i mnle, nikt gazety nie prenumeruje. Jest niby świetlica, zarząd gminy nadsyła kilka gazet, ale nikt ich nie czyta, bo w świetlicy pustki, w miejscowej restauracji, gdzie do zjedzenia nie ma nic a do wypicia zawsze — każdego wieczoru do późna w nocy gwarno i ludno.

Kłamałbym, gdybym napisał, że wcale gazet nie kupują. A jakże, kupują przy dnu targowym w Lipnie w poniedziałek i we czwartek. Kupi, rzuci na wóz pod nogi, lub zemnie i do kieszeni włoży, ale już w drodze do domu drze na papierosy.

Ja w oczach moich braci chłopów sąsiadów jestem nawet głupi bo opłacam „Wieś” „Chłopi”, „Chłopską Gospodarkę”, „Chłopską Droge”, „Chłopską Prawde”, „Przyjaźń”, „Życie i Wiedzę”, „Głos Pracy”, „Barykadę Wolności”, „Trybunę Wolności”, „Wolność”, „Poradnik Oświatowy”, „Tydzień”, „Żołnierz Polski” i „Głos Ludu”. Poza tym z Ameryki przychodzi mi „Gwiazda Polarna” i „Głos Ludowy”.

Do powyższego jescze muszę dodać „Nowe Epoke”, gdyż zapomniałem. Ponadto kupiłem sobie „Ziemie Piastów”, „Ziemie Jagiellonów”, piękne dzieło wydawnictwa Instytutu Zachodniego.

Ja jestem nic nadzwyczajnego, chłop jak i moi sąsiedzi, pracując codziennie na swoich piętnastu morgach, tylko że do tej „restauracji” wcale nie chodzę i mądrym się nie nazywam, tylko że moja potrzeba duchowa wymaga literatury i widzę to codziennie w życiu i w sprawach, że dlatego moi bracia w stosunkach ze sąsiadami, w radzeniu sobie w pracy, mowie, żalu i zabawie są biedni, bardzo biedni dlatego, że czwartę chociaż części tych pism nie mają, którą ja posiadają i wcale nie czytają.

Duński, szwedzki, amerykański „chłop” gdy wiezie obornik na pole siedzi na nim i gazetę czyta. On wie co mu daje dochód a co się nie opłaca. W mojej wsi moi sąsiedzi wszycko robią bez ołówka, bo tak roblił ich ojciec, do kościółta idą z nalożeniami. W kościele szeroko gęby otwierają gdy ksiądz z ambony powiada. Nie kłamcie,

nie oszukujcie, nie upijajcie, życie w zgodzie sąsiedzkiej, nie kłóćcie się i nie wyzywajcie i fałszywie nie przysięgajcie. Po niesporach spotykajcie się kum z kumem. Wdzielił się może mlesłac temu, ale w przy-witaczce wołają — sto lat jakem was kumortrze widział. Idą do restauracji a wieczorem każdy w swoją stronę wraca przy pomocy płotu a jak płotu zabraknie, jak nieboskie stworzenie na czworakach.

Gdy odnajdzie jakąś chorobę w koniu swoim, sprzedaje go, ale prawdę zatai, choć konia sprzedaje takiemu Polakowi i katolikowi jak i on. Różnym kłamstwem, bujdom i agitacją wstecznej nadstawiają uszu i dalej językami te prawdziwe „telegramy” noszą. Związek Samopomocy Chłopskiej, jakaś spółdzielnia, świetlica to próby skołchowania naszej wsi — popierać nie trzeba. Jakiś przyklejony plakat w naszej wsi, czy to jakiejś organizacji politycznej, czy gospodarczo-kulturalnej, lub z chęcią zorganizowania gromady dla dobra gromady lub w celu zorganizowania młodzieży, taki plakat wisi tylko do zmkoru. Jutro widziecie go podartego w błocie.

Nie znaczy to, że moja wieś dzika. O nie, Młodzież i starsi ubierają się przyzwoicie. Mówią sobie dzień dobry, nie uchylając czapki. Podajemy sobie ręce, dziś mamy elektrykę w domach a co kilka domów radio gada na głos. Ksiądz i nauczyciel mają wielkie poszanowanie. Zamożniejsi noszą się z „pańska” a powszechnie w tytule jesteśmy — proszę pana i panią. Słowem wyglądamy ładnie i gdyby ktoś dolara w kieszeni miał a cała wieś o tem wiedziała, moze u nas bez obawy nocować.

Jedno nas gubi i jest kulą w nogi — jesteśmy już mądrzy i doskonali i dlatego tak biedni. Wieś moja jak i wiele innyk tu wsi zakonserwowało się w tej niby „doskonłości chłopskiej”.

Jestem chłopem a wszycki inni winni mi cześć oddawać i szanować bom chłopem i więcej nam nic nie potrzeba. To właśnie u nas chłopów i w mojej wsi jest złem wielkim, którego się strzec należy.

Nie zawiąjamy prawdy w bawelnę, o sobie, wsi i chłopach niech chłopci piszą prawdę, choć w oczy kole, ale sercu lżej i po rozum do głowy przedź tu wieś przyjdzie. Bo bajką jescze jest, że „chłop potęgą jest i basta”.

Aniela Gut Stapińska

## Z prawdziwego zdarzenia

ilustr. Stanisław Cieloch

Jan Bolesław Ozóg

## Ścigany

We dworze państwa U. od wczesnego ranka rozpoczęło się gorączkowe przygotowanie do dzisiejszego a tak uroczystego dorocznego polowania. Pani U. wyciągnęła z kosza kunsztowną porcelanę, ustawiła kryształ w miejscu najbardziej widocznym, zmieniła firanki, wdziała najelegantszą toaletę francuską i żywo doprawiała mieszankę kawy upominając służbę żeby broń Boże nie przypaliła śmietanki.

Kilkakrotnie zwracała uwagę kelnerowi i przy tym nie szczędziła rad i wskazówek co do przyprawy bigosu. Bigos myśliwski to wyraz pańskości nie mówiąc o tradycji przestrzeganej od wieków przez dwory szlacheckie, trzeba więc dbać o jego oryginalność w doborze artykułów, a nade wszystko nie trzeba zapomnieć o trzech liściach bobkowych.

Jednocześnie pan U. konferował w sali myśliwskiej z leśnymi, gajowymi i gońcami, omawiając tereny na dzisiejszy dzień polowania, troszcząc się o najdrobniejszy szczegół, aby polowanie nabrało pańskiej świetności, zręczności i nader dobrej organizacji.

Po odprawie dworskiej myśliwskiej załogi dał znak do odejścia, zostawiając na małą rozmowę starego Gajdera, którego we wsi obwołano królem polowania i wirtuozem w sztuce myśliwskiej z racji pewnego wyczynu, a mianowicie stary ten poczciwiec idąc raz z dubeltówką na ramieniu — prawdopodobnie z kłusownictwa — zobaczył we wsi lisa wśród kur i wzywającą ratunku gospodynię. Nie wiele myśląc wypalił z dubeltówki kładąc trupem lisa i wszystkie kury. Gospodyni przestraszyła się zagrożonej kondygnacji jej persony. Od tego pamiętnego czynu stary Gajdera w sprawach myśliwskich miał pierwsze i ostatnie słowo. Wśród myśliwych był honorowany a p. U. nazywał go starym zaonym przyjacielem bez którego na polowanie nigdy nie wyruszył.

Dziś p. U. nie posiadał się z radości widząc Gajdera w dobrej myśliwskiej formie.

— Polujemy jak zawsze — rzekł mrużąc porozumiewawczo prawym okiem.

— Ono ta jakosi będzie, cożyby nie? — dziarsko odrzekł Gajdera. — Pamiętajcie — zajmijcie stanowisko z prawej strony obok mnie. — Bocem o tym zawdy tak jako, w polcerzu jest Jajeń! — zapewnił Gajdera.

Tymczasem na dziedzińcu dworski wjeżdżały dymiące parą i parszające ochotnie ogniste rumaki wiozące dostojnych gości z powiatu i okolic, wśród zaproszonych nie brakło najlepszych myśliwych, począwszy od starosty a skończywszy na starym Gajderze. Przyjechali również panowie z sąsiednich dworów. Doroczne wielkie polowanie.

Ruch, krzyk, nawoływania, myśliwski pospiech i las.

Las okryty nieskalaną śnieżną bielą, w promieniach wschodzącego słońca walił w oczy blaskiem białych ogni, groził potęgą mrozu, a zwarte drzewa pancernem śnieżnym zamykały dojdzie do jego wnętrza.

Powierzchnia leżącego śniegu na polanach była równa i niesłychanie biała. Wokoło nie było śladu ludzkiego istnienia. Natura jak gdyby pragnęła samotności.

Myśliwi zaabsorbowani polowaniem nie zwracali uwagi na cud natury i majestatyczną, prawie że groźną ciszę zamarłego lasu. Brocząc w śniegu na zboczu góry obstawili pozycje według przepisów myśliwskich, zapuścili psy do lasu, rozstali gońców z trębami i rozpoczęli zabawę niemiłą dla mieszkańców leśnych.

P. U. znając tajemnice terenów, zajął najlepsze stanowisko przy wylocie obsadzone-

go kotta, obok nieodstępny towarzysz Gajdera.

— No cóż stary przyjacielu uda się polowanie? — spytał p. U. Gajdera, kontrolując starą odziedziczoną po przodkach dubeltówkę.

— Wto wie cy ono ta będzie tak jako wyście wcieli? — mruknął Gajdera.

— Dlaczego? — spytał zaniepokojony p. U.

— No bo tego rumu w tej kawie było mało, prawie teleno kielto jest omasty we średek popielcowom. Ono ta na polowanie trza mieć w sobie krew ozgrzanom, to sie ta pote strzelo, cożyby nie! — mścił się Gajdera za ryzykowne skapstwo p. U.

— Ależ zapewniłam was przyjacielu — starał się zło naprawić p. P. — jeśli uda się polowanie, to wieczorem bigos ale jaki bigos! no a w rumie to was chyba utopię.

— Trzaby to helo rumu coży ja sie w nim utopił — nie skończył bo w tej chwili krąjąc racicami cudną biel śnieżną wypadł z lasu rozszuszony sbrzymi: dzik waląc prosto na p. U.

— Jezus Mar'a — krzyknął — ratujcie Gajdera.



— Już jest ono po ratunku, leży han! — rzekł Gajdera, śmiejąc się radośnie do swojej dubeltówki — ona ta psioekrew niesie!

P. U. patrzył na bryzgającego gorącą krwią dzika starając się przy tym ukryć swoje niesłychane zdenerwowanie — ano przerażenie się trochę, zresztą nic w tym dziwnego, przecież to nie pora na dziki, a ten sobie ni z tego ni zowego wypadł na mnie!

— Żeć ta nic w tem zmyślnego ni mas, bo las lo dzików — mówił Gajdera — bo kieby tak wypad na wos w salonie to jaby sie som zacudował.

— Ano prawda, rację macie — mruzczał zawstydzony p. U. a nagle spytał — słuchajcie jak myślicie, czy to honor zabić dzika?

— Prosem wos pięknie jak lo kogo, bo lo mnie to rzec zwykło, a lo wos honor wieldżany by był, kiedy był świat by się cudował nieustający.

— Słuchajcie, postanowił szybko p. U., macie tu dwieście złotych i milczcie a nade wszystko swojej żonie, ani słowa! Po chwili dodał — kobiety wszystkie lubią plotki.

— Rozumie, rozumie! — mruzczał Gajdera, chowając w zanadrze pieniądze i oglądając się w stronę wsi tęskliwie.

P. U. czymprędzej umówionym sygnałem zwołał myśliwych z pobliskich stanowisk oznajmując uroczyste bohaterkie i nader ciekawe uśmiercenie dzika, a tymczasem? Tymczasem Gajdera pośpiesznym krokiem szedł drogą do karczmy, zapraszając wszystkich znajomych po drodze na mały poczęstunek.

Zdziwienie zaproszonych nie miało granic. Skąd ta hojność? Skąd te pieniądze? Przecież wszyscy wiedzieli, że Gajdera nigdy groszem nie trącił, to też uczujący wyraźnie zaniepokojeni pytali o wyjaśnienie

tęgo tak bardzo miłego zdarzenia. Gajdera milczał dość długo, aż wreszcie po rozgrzaniu kości i języka po cichu każdemu opowiedział co zaszło, prosząc, aby broń Boże to zdarzenie nie doszło do wiadomości jego ślubnej małżonki.

— Wiecie, wiecie — mówił Gajdera — baby jak baby, tako stworzona na to coby pleść naopak, jo zabił dzika, a tako ci przekreć i powie zek zabił maciore, a doresty pon pytali coby nika nikomu nic, to ono jacy ja wos godom.

Zabawa wrzała w szybkim tempie, zaproszeni nie tracili czasu na marne, to też w niespełna kilka godzin pieniądze zostały ulokowane w kieszeni karczmarza. Sytuacja ta chwilowo zaspokoiła myśliwskie czoło staro Gajdera, jednak myśl szczęśliwa na czas zaświtała do jego głowy, podniósł się szybko z ławy i pobiegł do dworu i tam prosił o natychmiastowe widzenie się z p. U. Pani U. przyjęła go wielce zdziwiona, a zarazem zaniepokojona jego przybyciem o tej porze.

— Co się stało — pytała?

— Je nic — rzekł niby obojętnie — trochę ono było źle!

— Boże wielki nieszczęście — szeptała pani staniając się na fotel — czy może ranny?

— E coży ino ze już nie żyje!

— O Boże wielki! krzyżała — mój mąż nie żyje!

— Ze cichoze pan! tekoście noremno — mówił spokojnie Gajdera — zej to nie pon was nie żyje ba dzik, bo go trafił w te kie lecioł na pana dziedzica.

P. U. odetchnęła z ulgą.

— Nie wiem jak wam mam podziękować?

— Zej ta dziękować nie trza, bo ta z tego ciek nie wyzyje!

— Ach pieniądze to głupstwo, zorientowała się pani i pobiegła szybko do szkatułki, a tymczasem Gajdera podziwiał jej umiejętność życiową.

— Wicie, wicie żeć ona tu nie tako głupawo jako jo myślał, żeć ona se tu w każdej rzeczy da rade.

Pani U. radośnie wręczyła Gajderze 200 złotych, przy tym zapewniła go o dozgonnej wdzięczności i prosiła gorąco, że gdyby kiedykolwiek był w potrzebie, niech przyjdzie jak do rodzonej matki.

— Matko moja nie byłaby tako lekkomyślna coby za bodażco dawała — myślał cicho Gajdera chowając w to samo zanadrze pieniądze i pośpiesznie celował do drzwi.

Biesiadnicy osieroceni nagłym zniknięciem hojnego Gajdera, ujrzawszy go, z krzykiem rzucili się na jego kosmatą pierś i żywo pytali o przyczynę nieobecności.

— Ze kls wos, kazescie był tak długo? Zej wiecie luto mi sie zawidziało dziedzica i myśle se reke będzie som stratny? niekze i pani jego pocierpi kondek, a doresty trza było jesse co wypic, skoromy sie apotkali tak fajnie i młodo.

Okolo północy brocząc w śniegu szedł Gajdera do domu uśmiechając się jak małe dziecko do błyszczących iskerek śnieżnych i głośno rozprawiał sam z sobą o szczęśliwie spędzonym dniu, jednocześnie zachwycał się urokiem nocy księżycowej.

Ono wiecie ślicnie jest na tem świecie, ej wiera, ślicnie. Dzień mi bo był szczęśliwy i noc do znaku ślicno. Ono warce żyć na świecie, ej wiera warce! Baba mi też będzie rada! Baby chłopom w nocy zawdy rade!

Dobrnawszy do domu rażno zastukał w kłno nuąc głośno piosenkę.

Otworze mi otworz kochanecko moja Bo mi sie zwidziała ta gębusia twoja.

Gajdera nie długo czekał na otwarcie drzwi. Kochanecka drzwi otworzyła tak energicznie, aż się Gajdera zachwiał i w tej chwili spadł na niego gęste razy starego miotlika a z ust „kochanecki” płynęła niczym nie dająca się zahamować lawina nieparlamentarnych, obelżywych słów.

— Ty złokrew dziadowsko, telos niesęćto narobił we wsi. Nie dość ze chłopcy babom gorki na głowak poozbijali boś ik spił do imentu, toś jesse we dworze zwady plerońskich narobił! Dziedzic pado, ze to on zabił dzika, a dziedziczka sie przysięgo, ze to twoja sprawa. Ty psioekrew jedna ztracona ka dudki coś wzion od dziedziców co? Przesly bez cie za pare godzin i nika z te-

Tętnią poleczki, skaczą walce i drgają lby i nogi w puchach i tęczy grzyw czterdziestu koni...

Ten obraz chcą wam dobyć palce pod wieczór z wymienia harmonii.

Może pod koniec bitw narodów krzyż mi tu młode ramię poda? Pod koniec ten niejedno z was, gdy tyłu wśród dymów nas padnie, wspomni z zegarka cent i pas rzemienny mój u klawiatury. Zaszumią groby, lasy, góry, uskokcy sobie i dolina i rybą strumyk stuknie na dnie.

E nic to, mił — cóż za błąd, żem niepodobny snom, a psu? „Dobranoc” podam z kłścią bzu; do „chłopców” niedaleko stąd, pod darnią rdza żre stal kaemu.

Czy nie ja to mówiłem: Hola. Gdzież proste poczucie humoru? Gestapo? Kiedy to cię boli, najlepiej idźże do znachora.

Już nie mruż, błędny chłopcze, powiek i nie pij strachu w dzień i w noc — dobre lekarstwo: kula, nóż, Schmeisser i Colt — i „znachor” Kłoc, mój Boże, co za złoty głowiek w czapie z różowych tun i zór...

Dziś fakże bliska wiosny meta wesolo w krew się wszystką ięje. Patrście, i oto ja, poeta idę z naganem przez mlascieczka, ten sam na rynku się tam śmieje gębą umytą w ilustym kubie, — wiedźcież, rękawom dać dwa kolki, a byłby dziad na wróble.

Lecz przecież chyba nowe stada przemilych druhów z pól i wsi, smakując gorzki ptasi rdest, który-m zostawił w wierszach moich na cynamonie z bomb i krwi, nie będą się już niepokoić, że idą bez gwiazdy ponad czołem.

Oto jak chleb lamany społem: broń, amunicja, wszystko jest.

Kwiecień, 1942

go hasnu. Ty złoduso jedna! Trza było pieniądze przynieść do domu byłabyk słowa nie pisa, a tak posiedź se teraz do rana na polu, bes wiedziol jako trza lo baby mieć serce i poćwioc. Ty bimbacu ztracony!



Po skończeniu oracji powitalnej wygłoszonej przez małżonkę, Gajdera usłyszał energiczne trzaśnięcie drzwiami przed norem po czym zapanowała śmiertelna cisza. Zmartwiony i złamany usiadł na progu i zaczął rozmyślać nad prawem Boskim i ludzkim.

— Takom przecie chyba Pan Bóg nie stworzył, boby się wstydzil za taki stwór, ono mo siele w kufie, a w rękac takie słabe jak wlat. He ckleu, zmozes syćko co wces! Palcem pocłagnies za cingiel i dzik lezy, a tako secko i na to rady nima. Świat cłktem źle urządzony, a syćko na nase chłopskie niesęćcie.

KAZIMIERZ BRANDYS

## MIASTO NIEPOKONANE

OPOWIEŚĆ O WARSZAWIE GROZY I NADZIEI

„Niechaj mnie natchnie to miasto dokładną pamięcią... aby żadne kłamstwo nie wyszło mi spod pióra i nie umniejszyło wielkości jego prawdy“.

(Z przedmowy autora)

K S I A Ź K A

Jan Kobiela

# Marchwiane refleksje

Bodźcem do uwag niżej wypowiedzianych była wystawa spółdzielczości ogrodniczej, którą Łódź może obecnie u siebie oglądać.

Przypuszczam, że wystawa ta to dobry moment do „wyłożdowania” się nad problemem odżywiania się narodu.

Temat to za „płaski” według pięknoduchów, trudno mu „wkupić” się na łamy pism społeczno-literackich, leży on poniżej ich godności kulturowych rozważań. Stoją oni na stanowisku, że czas i miejsce lepiej poświęcić dyskusji nad bylejaką sztuką teatralną, żeby ją ratować i „rozrobić” dla niej grunt.

Obserwujemy dziś, że pisma ciągle się obstrzelują nowymi koncepcjami literatury, sztuki, człowieka; mówi się dużo i łatwo o godności ludzkiej, o potrzebie szacunku dla jednostki, zapomina się jednak o tym, co warunkuje sam fakt zaistnienia tych pożądanych właściwości, mianowicie o konieczności zaspokojenia najpierwszych potrzeb ludzkich w ogóle a szczególnie w zakresie odżywiania.

Pisma przeciwnych obozów prowadzą żaźarte boje o duszę ludzką, o świadomość dzisiejszego człowieka; w tych bojach znów się zapoznaje jednak jego substancję biologiczną. W walce o taki czy inny typ kultury często zapomina się o tym, co składa się na istnienie człowieka biologicznego, na którym możemy dopiero bazować człowieka kultury.

Pretensje moje mogą wydać się komuś śmieszne i nie na miejscu. No bo jakżeż! Cóż tu pisarze mają do roboty, niech ta sprawa zostanie w rękach fachowców. Publicyści w swoich górnych rozważaniach i pryncypialnych dyskusjach nie mogą przecież zejść na teren, gdzie tak zwany prosty człowiek pora się z pytaniem, na które mu trudno znaleźć odpowiedź.

## „STWIERDZENIA BANALNE”

Zdolność narodu do wysiłku, jego prężność produkcyjna, gospodarcza czy kulturalna zależna jest od tego, jak się on odżywia. Asceta czy zagłodzony na pewno nie będzie w stanie zdobyć się na wydajną pracę na dłuższy dystans.

Rozumny stosunek do odżywiania się to także wskaźnik cywilizacyjności. Śmiejemy się z punktualności w spożywaniu posiłków w Anglii czy Francji. Większe osiągnięcia tych narodów bodaj czy nie mają i w tym swego źródła. Boć przecież tu jest wyraźne liczenie się z mechaniką ludzkiego ciała. Ludzie z krajów zachodnio-europejskich dobrze wiedzą, że organizmowi ich potrzebne są tłuszcze, białko, węglowodany, fosfor, żelazo czy wapno; wiedzą, że bez witamin ich mięśnie i mózg będą mniej sprawnie funkcjonowały.

Kulturę tworzymy przez opanowywanie natury, a opanować naturę to właśnie liczyć się z jej prawami.

Czy mamy tradycje rozumnego gospodarowania tym naturalnym mechanizmem, którym jest ciało ludzkie, czy zaspokajamy jego potrzeby tak, by wydobyć z niego maksimum energii fizycznej i duchowej? Odpowiedź wypadnie oczywiście przecząco. Przecież nasze społeczeństwo charakteryzuje niechlujny stosunek do odżywiania się, ilość przekładamy nad jakość, brak nam jest rozumniejszego zróżnicowania pokarmów. A przecież to zagadnienie jest dzisiaj alarmujące. Grozi nam cherałstwo. Cały nasz naród przechodzi okres rekonwalescencji. Miliony niedożywionych z obozów, z partyzantki, z robót przymusowych, toż to ludzie, którzy przez szereg lat żyli deficytowo, eksploatowali z konieczności własne organizmy do ostateczności. Mamy kolosalne braki, które nie prędko zostaną wyrównane, dlatego tym bardziej należy akcentować sprawę racjonalnego odżywiania społeczeństwa. Wyrównać niedobory organiczne narodu to pierwszy postulat, po zaspokojeniu którego można będzie już bez narażenia się na opadnięcie z sił i zniechęcenie podjąć te trudne zadania, które stoją przed narodem. Jest on dziś nadal w ciężkiej walce o utrzymanie się przy jakim takim standardzie życiowym. Wyprodukowanie odpowiedniej ilości i jakości artykułów konsumpcyjnych to dla kraju „być albo nie być”.

Dlatego takie fakty jak warszawska wystawa przemysłu spożywczego czy łódzka

wystawa spółdzielczości ogrodniczej powinny być szeroko omawiane; opinia publiczna winna być w te sprawy wciągnięta. Publicyści nie powinni wymijać tego problemu. Czym się odżywiamy, co powinniśmy jeść, a co rzeczywiście możemy jeść — oto lekcja wystawowa, zwłaszcza wystawy ogrodniczej. Spójrzmy na nią oczami nieuprzedzonego widza.

## POZÓR I RZECZYWISTOŚĆ

Na wystawie łódzkiej znalazło się wszystko to, co mogą wyprodukować nasze ogrody i sady. Dziesiątki różnokształtnych i różnokolorowych odmian jablek, stopy wspaniałe wyrosniętej marchwi nantejskiej, pięknie ukształtowanych buraków ćwikłowych, pietruszki, porów, selerów, jest wspaniała gatunek cebuli wolskiej. Warzywa, owoce — pachnące, barwne. Stoiska estetycznie pomyślane, plony pracy ludzkiej starannie zaprezentowane. Owoc i warzywa pokazane są w trzech odmianach ich możliwej konsumpcji — w stanie surowym, owoc i warzywa przerobione na konserwę, wreszcie produkty te pod postacią suszu. Warzywa w tych odmianach mogą być spożywane jak rok długi; przemysł konserwowy i suszarnie przedłużają czas konsumpcji.

Wystawa gromadzi wszystko to, co w jakikolwiek sposób wiąże się z produkcją ogrodniczą, można tu oglądać środki na zwalczanie szkodników, wszelkiego rodzaju narzędzia, ułatwiające pracę w ogrodzie; ręką ludzką idzie i tu technika znakomicie w pomoc.

Widz może się napatrzeć, po nasyceniu jednak oczu, zaczyna się czegoś niepokoić. Czegoś mu tu brak. Dowiedział się, że winogrona mają największą ilość witamin, że spółdzielnia ogrodnicza w Tymbarku ma pierwszorzędną obroty, że hodujemy wie le pięknych odmian jablek, że owoce najładniejsze są w okolicach Nowego Sącza. Wreszcie jego niepokój konkretyzuje się w wyraźne postawionym pytaniu. Gdzie wskaźniki produkcji? Ileż, na Boga, możemy zjeść tej marchwi, o której rodzice, gdy

byliśmy mali, mówili, że „krwi przysparza”, no a te wspaniałe „oberlandzkie”, czy „piękna z Boskoop”, bądź żółtuśkie „pepiny londyńskie” czy „Janathany”, dla kogo to? (Mój widz jest robotnikiem lub gospodarzem przybyłym do Łodzi z wycieczką wiejską, bądź nauczycielem). Któż to może jeść? Entuzjastyczny dziennikarz mówi wprawdzie gdzieś tam na łamach swojego piśmka, że dzisiaj jabłko już przestało być niedostępne dla dziecka chłopskiego czy robotniczego. Widz jednak wie, że jest inaczej. Skaczą mu przed oczyma ceny. Piękne wypielęgnowane replety, kosze, baumany chowają się nagle za wywieszki z napisami: 160 zł, 200 zł. Cyfry się kręcą, wirują. Jabłko się broni, szepce, że chce być jedzone, owszem, że jest zdrowiem i radością dla człowieka. Ale tymczasem „rzeczywistość skrzeczy”. Nasz widz to tak zwany „przeciętniak”. Taki ma 5.000 zł miesięcznie, może trochę mniej, może trochę więcej, to jest przeciętna zarobku. Do tego ma czteroosobową rodzinę. Propagatorzy mówią mu — jedno jabłko dziennie to zdrowie twoje człowieku! Chyba tak, ale przy tym liczy: cztery jabłka dla rodziny — 100 zł. W przeliczeniu miesięcznym 3.000 zł. „Nie chyci” pannie dziennikarzu — ręka dziecka wyciągnięta ku owocowi, opada zawiedziona. Produkcją, okazuje się, rządzą surowe prawa. Mała ilość artykułu, — wysoka cena, to są niezmiennie prawa ekonomiki. Nasz drzewostan jest dziś mały, surowe zimy przetrzebiły drzewa naszego kraju, jak wojna ludzi. Gdy chodzi o owoce propaganda spożycia jest zlekka kpina z dzisiejszej biedy ludzkiej. Za parę lat już będzie inaczej. Spółdzielnie ogrodnicze pracują na „całą parę” z Tymbarkiem na czele. Powstają setki szkółek drzew owocowych, drzewka te rozprowadzane są między rolników, by zakładali sady.

Propaganda tu nie ogranicza się do rzucania hasła bez pokrycia, a idzie z pomocną ręką, planem konkretnym. Spółdzielnia ma swojego instruktora - ogrodnika, który okolicy doradza, pomaga, poucza i spółdzielnia przy drzewek dostarcza narzędzi

i środków chemicznych do zwalczania szkodników w ogrodach. Ruch spółdzielczy może za parę lat rozwiązać problem taniego jabłka. Dziś niestety mogą je nadal jeść nieliczni.

A cóż z warzywami??? Z doświadczenia wiemy, że tak bezpośrednio ich producent chłop jak i człowiek miejski w okresie wegetacji zjadają tych warzyw dostateczną ilość. Gorzej jest w miesiącach zimowych. Tu może przyjść z pomocą konserwa jarzynowa — groszek zielony, fasolka szparagowa, pomidory, ogórki. Apetyczne! ale znów w puszkach i stojach diabli nie drogie. To samo, co z jabłkiem. „Przeciętniak” nie stać na te rzeczy, które powinien jeść. W wypadku drugim jednak tkwi jakiś błąd. No bo surowca mamy chyba dostyć, zdolność przetwórcza fabryk też jest większa niż ich produkcja. Przemysł konserw warzywnych stwierdził, że przerobił tylko 3,5 proc. ogólnego zbioru warzyw i owoców, podaje za powód tego małego wskaźnika słabą chłonność rynku wewnętrznego. Dość dziwnie brzmi to oświadczenie. Przemysł ten używa tu terminów: chłonność rynku, opłacalność, tak jakby z innej struktury gospodarczej, nie naszej. Okazuje się, że przyzwyyczajenia to silna strona człowieka. Elementarne znów prawo handlu mówi, że zwiększenie produkcji wpływa na potaniecie wyprodukowanej jednostki. Przypuszczamy, że ilość odbiorców na pewno by się zwiększyła, gdyby produkt staniał.

Wystawa łódzka gdyby chciała propagować spożycie owoców i warzyw, stała by się czymś w rodzaju „komedii pomyłek”. Natomiast jest ceną imprezą, gdy daje wytyczne do produkcji, gdy zachęca i pokazuje drogi, gdy mówi o osiągnięciach i perspektywach na przyszłość. To jest pozytywna robota Organizatorów wystawy. Jeden skromny afisz Spółdzielni Łowickiej, w którym się mówi, że zakontraktuje ona od chłopów na przeciąg 5-u lat wszystkie warzywa z 5.000 ha ziemi, — mówi wiele. Na rachunek zakontraktowanych plonów daje nasiona, nawozy, narzędzia, założy 50 szkółek drzewek owocowych! To jest robota. Taki afisz był na wystawie tylko jeden, prawdopodobnie przypadkiem, ale faktów mu odpowiadających jest w dzisiejszej Polsce dużo.

Piotr Wyrobek

# O honor chłopski

Każdy z nas nosi w swej duszy Amerykę, lecz czy każdy z nas umie być tym Kolumbem, który ją odkrył? Wszak już powiedziano, że kłamstwem jest wdzięk — złuda jest piękność, zatem honor i sława mogą być tylko tym zboczeniem moralnym, przejawiającym się w zapomnianiu o tym, czego dokonali nasi przodkowie, zanim my odkryliśmy w sobie inne wartości. Bo wartości życia człowieka są zawisłe od wartości jego duszy. Silne ciało potrzebuje ruchu, wyładowania energii, a gdy ją człowiek czy to w boju czy w inny sposób wyładuje, to jest jego „honor”. — Żywy umysł potrzebuje znowu stawy duchowej, zdobywa więc wędze tak jak serce zdobywa miłość, gdyż i zmysły człowieka pragną zaspokojenia — a zdobywcy te są tym honorem człowieka.

Posiadający charakter nie ma zwyczaju wyrażania się o kimś. Nazywamy takiego człowiekiem honoru. — Honor nie jest niczym innym jak kontrolą samego siebie. Jest zatem dążeniem do poznania samego siebie pod znakiem dobra i piękna. Aby honor człowieka należycie ocenić, wystarczy często, gdy zna się jego nieprzyjaciół i słyszy się, co o nim mówią.

Ja np. zawsze marzyłem tylko tym, aby w życiu być małym i pożytecznym dla drugich, za co często spotykałem się z zarzutem, że nie mam honoru. Jak Dante w poemacie „Biesiada” czuł wstręt do tych, których pycha rozsądzała; wstrętna żądza władzy, chciwość pieniądza lub ugania się za sławą. A już w młodości słyszałem od mych rówieśników na wsi takie przycinki: „Pietrek! — miej honor — bądź chłopem!”. Znaczyło to: nie bądź tchórzem, gdy cię kto zaczepi — to wał!

Gdy pewnego razu wracałem z miasteczka i wstąpiłem do karczmy zw. „na piłakach”, zastałem tam czterech parobczaków piących piwo, którzy zaprosili mnie ku sobie, stawiając przede mną szklankę piwa. Jeden z nich zgrzytnął zębami i wypowiedział te słowa: „Ty Pietrek nimas żadnego honoru, bo jeno

z księdzem wikarym i profesorami i organistom chodzisz a nami parobkami gardzisz”.

Zdziwiło mnie zaraz dlaczego moi „honorowi” przyjaciele tak szybko spijają piwo i każą żydowi stawiać inne, gdy ja ani połowy szklanki nie wypilem, lecz wyjaśniło się to niebawem, gdy moi znajomi wyszli do drugiej izby na jakąś naradę, a Żyd przychodził do mnie i mówi: „Pietrek uciekaj, bo będą cię bić”. Oczywiście i tu stchórzyłem i czmychnąłem, a gdy ci czterej zauważyli, byłem już o jakie pół kilometra od karczmy na osieckiej górze i widziałem z daleka ich pogródki i słyszałem krzyki. Odgrażali mi się za to, że nie trzymałem z nimi i nie szedłem po linii ich chłopskiego honoru. Chodziłem z takimi od których pobierałem książki do czytania zamiast walać się od karczmy do karczmy i za to nienawidzili mnie jak człowieka bez chłopskiego „honoru”.

A jeszcze jeden przykład: w r. 1911 odbywały się wybory do austriackiego parlamentu. W mojej wsi miało się odbyć zgromadzenie przedwyborcze, na którym mieli przemawiać kandydaci na posłów. Ja trzymałem stronę SL, z którego był kandydatem wójt z Bieńkówki Józef Rusin, ludowiec, chłop bardzo światły i porządny człowiek.

Wstąpiłem do karczmy aby zbadać sytuację. Zastałem pełną karczmę chłopów, którzy na mój widok powstali i raczili mnie piwem, pytając się mnie, kogo z tych kandydatów radzę im wybierać. Gdy im zaleciłem Józefa Rusina krzyknęli: „My nie chcemy żadnego Rusina, bo my na ciebie chcemy głosować!”. Wykręcałem się od tego, gdyż nie kandydowałem, a oni okrzyknęli mnie znowu: „Ty nimos żadnego honoru — nasa wieś chce mieć ten honor, abyś ty był posłem! A ty nie dbos o swój honor!”.

Otóż w tych słowach jest gotowa wypowiedź, jak już wtedy świetlejsi chłopcy zaczęli pojmovać znaczenie honoru chłopskiego. Jednak nie wszyscy, bo między nimi byli i tacy, którzy nie czytali gazet, a czy było

trzeba, czy nie trzeba, to i sto piw kazali postawić żydowi, a gdy „honor” ich opanował jakiś szal (jak w pewnym wypadku się to zdarzyło) te 100 piw fundator zwalił ze stołów na podłogę, bo to jego „honor” mu tak kazał, i znowu woła: „Żydzie! postaw tu 100 piw” — no i drugi raz szynkarz nalał 100 szklanek — chłop za 200 szklanek „honorowo” zapłacił, ale gazety taki nie zaprenumerował! Inny znowu zaprenumerował sobie dziennik „Czas” bo to panowie czytają, bo mu tak kazał „honor”.

Chwała Bogu, że dziś ten chłopski honor przybiera kolor inny. Świadczą o tym korespondencje ze wsi, pisane do gazet chłopskich domagające się dla wsi wyższej kultury. Wystarczy choćby przeczytać gazetę „Chłopi” i taki w niej artykuł pt. „Na wyższy szczebel kultury”, albo też wiersz Stanisława Nędzy-Kubińca pt. „Chłopski Dom” zamieszczony w Nr 1 pisma „Wolna Gromada”. Dziś i ta wieś z której pochodzę, w inny sposób niż dawniej podchodzi do pojęcia honoru. Od przeszło 20 lat ma 7-klasową szkołę, pomieszczoną w budynku, którego by się nawet Kraków nie powstydził i dziś słyszeć tam można takie chępliwie słowa, że 36 uczącej się młodzieży ma w szkołach średnich, — podczas gdy z sąsiedniego miasteczka tylko 17 uczęszcza do takich zakładów. A więc honor chłopski został uratowany — i mój i mojej rodzinnej wioski honor!

## KOMUNIKAT ODDZIAŁU WIEJSKIEGO ZW. ZAW. LIT. POL.

Od lata b. roku Sekretariat Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Lit. Pol. mieści się w Warszawie. Prosimy członków „Oddziału”, by w sprawach wszelkich kierowali listy na adres: Edward Marzec, Sekretarz Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Lit. Polskich, Warszawa — Marymont, ul. Rajszevska 49.

## WYDAWNICTWA Instytutu Oświaty Rolniczej Związku Samopomocy Chłopskiej

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:  
Warszawa, Al. Przyjaciół 5.  
WRZESIEŃ 1946

### BIBLIOTEKA SAMOPOMOCY CHŁOPIEJSZEJ

- Nr. 1 Prof. dr E. Chroboczek:  
„Ogród warzywny przy domu”,  
str. 28, cena zł. 5.
- Nr. 2 Inż. St. Zaliwski:  
„Krzewy owocowe”, str. 64  
cena zł. 25.
- Nr. 3 Prof. dr J. Kochman:  
„Ochrona sadów”, str. 50  
cena zł. 20.
- Nr. 4 K. Chrzastowski:  
„Wskazówki dla księgowych  
spółdzielni Samopomocy Chłopskiej”,  
str. 104, cena zł. 40.
- Nr. 5 Prof. dr J. Jagmin:  
„Uprawa lnu i konopi”, str. 56,  
cena zł. 20.
- Nr. 6 Prof. dr Z. Golonka:  
„Łąki — ich uprawa i użytko-  
wanie”, str. 36, cena zł. 18.
- Nr. 7. Doc. dr A. Listowski:  
„Ziemniaki”, str. 40, cena zł. 20.
- Nr. 8. Prof. dr Cz. Kanafojski:  
„Siewnik rzędowy”, str. 36,  
cena zł. 25.
- Nr. 9. Prof. dr Z. Pietruszczyński:  
„Lucerna”, str. 40, cena zł. 25.
- Nr. 10. Prof. Andrzej Mering:  
„Jak przetwarzać owoce i warzy-  
wa na użytek własny”, str. 72,  
cena zł. 30.
- Nr. 11. Inż. Z. Dubiska i dr J. Dubiski  
„Gospodarski chów kur” str. 66,  
cena zł. 30.
- Nr. 12. Dr J. Kielanowski:  
„Chów świń”, str. 52, cena zł. 30.

### ZAGADNIENIA ROLNICZE

- Nr. 1. Inż. St. Zaliwski: „Dobór od-  
mian drzew i krzewów owoco-  
wych”, str. 20, cena zł. 10,  
(wyczerpane).
- Nr. 2. Prof. dr Cz. Kanafojski: „Za-  
gadnienie racjonalnego wykorzy-  
stania traktorów”, str. 10, cena  
zł. 10, (wyczerpane).
- Nr. 3. Inż. Z. Dubiska: „Naturalny i  
sztuczny wychów kurcząt”,  
str. 12, cena zł. 10, (wyczerpane)
- Nr. 4. Doc. dr A. Listowski: „Możli-  
wość rozwoju nasienictwa w  
drobnych gospodarstwach”, str.  
12, cena zł. 10.
- Nr. 5. Prof. dr Z. Pietruszczyński:  
„Wybór kłębów ziemniaczanych”,  
str. 12, cena zł. 10 (wyczerpane).
- Nr. 6. Prof. dr J. Kochman: „Cho-  
roby wirusowe ziemniaków”,  
str. 20, cena zł. 20.
- Nr. 7. J. Skulski: „Niebezpieczeń-  
stwo stonki ziemniaczanej”, str.  
12, cena zł. 10.
- Nr. 8. Prof. dr E. Chroboczek i Prof.  
dr Fr. Piasek: „Jak przebudow-  
ać istniejące budynki na prze-  
chodownie owoców i warzyw”,  
str. 32, cena zł. 20.
- Nr. 9. Prof. dr inż. Czesław Kana-  
fojski: „Sprawa budowy polskich  
ciągników rolniczych”, str. 12,  
cena zł. 15.
- Nr. 10. Mgr. J. Pieniążek: „Sok Po-  
midorowy”, str. 16, cena zł. 15.
- Nr. 11. Prof. dr E. Chroboczek: „Za-  
gadnienie produkcji i przetwor-  
stwa warzyw w chwili obecnej”,  
str. 44, cena zł. 20.

### W DRUKU:

- Prof. dr M. Górski:  
Nawozy i Nawożenie.
- Prof. dr M. Górski:  
Nawozy Naturalne.
- Prof. dr B. Świętochowski:  
Poradnik Osadnika Śląskiego  
Część I — Uprawa roli i roślin.

W OSTATNIM (43/71) NUMERZE „WSI”  
z dnia 3 listopada 1946.

Tadeusz Papier — „Emigranci”, Włady-  
sław Błachut — „Jeszcze o wiejskiej pocz-  
cie; Władysław Dziubiela — Wieczorne opo-  
wieści; — Zygmunt Sierp — We wsi muzy-  
ka, Włodzimierz Wnuk — „Ziemia” w Gu-  
sen jęczała; Stanisław Pięta — Partyzant  
i dziewczyna (III); Stefan Baścik — Warun-  
ki materialne studiów akademickiej młodzie-  
ży chłopskiej, Zygmunt Stolarski — Jak  
wczoraj, Stefan Lichański — U poetów;  
Kazimierz Sosnowski — Bitwa pod Gdowem;  
Czesław Garda — Organizacja powszechnej  
oświaty rolniczej w Polsce; Stanisław Pale-  
czny — W wieczór; korespondencja, 1 lu-  
stacja, 8 stron.

Stefan Lichański

## „A walczącym — bojowy znak”

Władysław Broniewski: BAGNET NA BRON  
Pod znakiem poetów, seria trzecia, Wydawni-  
ctwo J. Mortkowicza. Kraków — Warszawa,  
MCMXLVI, Spółdzielnia Wydawnicza „Ksia-  
żka”, str. 46 + 2 nl. DRZEWO ROZPACZA-  
JĄCE, wyd. j. w., str. 88 + 4 nl.

Ukazały się dwa zbiorki wierszy czołowe-  
go poety polskiej lewicy społecznej, zbiorki  
wierszy powstałych przeważnie na emigracji  
i tematycznie związanych z przeżyciami  
owego okresu. Nie wnoszą to tomiki do twór-  
czości Broniewskiego jakichś tonów nowych  
i nieoczekiwanych, raczej nawet rzecz można,  
że podkreślają i uwypuklają najbardziej za-  
sadnicze cechy charakterystyczne tej poezji.

Broniewski jako poeta związany jest ideo-  
logią artystyczną z tradycjami „Skamandra”.  
W ostatnich latach przedwojennych poezja  
Broniewskiego nasycała się jednak także ele-  
mentami treściowymi i formalnymi przeję-  
tymi skądinąd, głównie z poezji rosyjskiej.  
Okres emigracji jakby zerwał zupełnie te  
związki i z powrotem uwziął poetę wyłąc-  
nie w kręgu skamandryckiej tradycji wiersz-  
opisarskich. Prawdopodobnie dlatego odno-  
si się przy lekturze obu ostatnich zbiorów  
wrażenie, że choć zawierają one szereg u-  
tworów zgola nieprzeciętnych, są jednak w  
porównaniu np. z przedwojennym tomikiem  
„Troska i pieśń” — krokiem wstecz, odwró-  
tem ku wcześniejszej fazie rozwoju poety-  
ckiego, fazy związanej w zakresie form wy-  
razu z terminowaniem u „Skamandrytów”,  
a w zakresie ideologii — z kontynuowaniem  
tradycji polskiego socjalizmu wytworzonej  
przez rewolucję 1905 roku, a skodyfikowanej  
w utworach Żeromskiego, Struga, Daniłow-  
skiego.

Poezja to czysto emocjonalna, bezpośrednia  
wypowiedź pod naciskiem wewnętrznego  
impulsu:

Ja hym chętnie nie pisał,  
ale muszę:  
czort jakiś mnie rozkołysał,  
wziął w duszę,

czort jakiś szepcze mi: „Napisz  
na przekór pieklu i niebu”, —  
i nie pomoże Papież,  
i nie pomoże Belzebub.

Twórczość poetycka tak pojęta staje się  
prostym przedłużeniem przeżyć rzeczywi-  
stych, zamykaniem w „mowę związaną” stan-  
dów psychicznych związanych z aktualnie  
przeżywanymi zdarzeniami. Trudno byłoby  
twierdzić, że niepodobna przeżyć bardzo nie-  
dawnych wykorzystywać jako tworzywa ar-  
tystycznego, jak to twierdzili np. pseudokla-  
sycy. Ale nie wolno i pseudoklasyków potę-  
pić z tego powodu zbyt pochopnie. Przeży-  
cia czasowo bliższe tylko wtedy bowiem mo-  
gą zostać wykorzystane z powodzeniem jako  
tworzywo artystyczne, kiedy przejdą prze-  
naprawdę potężny transformator i intelek-  
tualny i artystyczny, gdy wydołyte z nich  
zostanie to, co przelotnej chwili nadaje wagę  
momentu historycznego. W innym wypadku  
albo robota artystyczna chybia celu i otrzy-  
mujemy jakąś pseudoliteracką publicystykę,  
albo prywatne, indywidualne przeżycie wysu-  
wa się na plan pierwszy i zamiast dzieła  
sztuki powstaje autobiograficzna ploteczka.  
Pseudoklasyki, dla których ideałem była do-  
skonałość wyrazu, a nie siła, zdawali sobie  
choć może podświadomie sprawę z tych  
niebezpieczeństw i woleli nie zapuszczać się  
na tereny takiego poetyckiego „Dzikiego Za-  
chodu”, tolerując najwyższą poezję okolicz-  
nościową okiełzaną surowymi prawidłami po-  
etyki normatywnej.

Broniewski jest zbyt impulsywny, by sto-  
sować się do wcale zresztą niegłupich wska-  
zań poetyki pseudoklasyk i usiłuje sto-  
czyć walkę wręcz ze swoją współczesnością,  
ażeby opanować jej istotny, najgłębszy sens.  
Rezultatem tych usiłowań są wiersze „z  
głębszą myślą” żywo przypominające Słonim-  
skiego, który całą swoją mądrością filozoficz-  
ną czerpał z powieści Wellsa. Bardzo charak-  
terystyczne będą pod tym względem utwory  
takie jak „Grób Tamerlana”, „Via Dolorosa”,  
„Dwugłos” z „Bagnet na broń” czy „Po co  
żyjemy” lub „Homo sapiens” z „Drzewa roz-  
paczającego”. Wiersze te świadczą najlepiej,  
że liryka refleksyjna, filozofująca nie jest  
najsilniejszą pozycją w dorobku poetyckim  
Broniewskiego. Echa Słonimskiego są tu  
bardzo wyraźne. Oto np. w zakończeniu wiersza  
„Homo sapiens” poeta wyraża życzenie,

by na skrawionej globu mapie  
stał do walki przeciw lotrom  
dobry, spokojny — Homo Sapiens.

Czyż to nie reprodukcja dość wierna stro-  
fy Słonimskiego brzmiącej następująco:  
Z trudem podźwiga głazy powiek  
Ażeby podnieść wzrok w błękity,  
Wstaje — łagodny, słaby człowiek,  
Syn prawowity.

A czyż nie najzupełniej w duchu Słonim-  
skiego jest utrzymana wizja postaci Chrystu-  
sa w wierszu „Via Dolorosa”:

Ciemnie na głowie.  
Sam wśród gawiedzi ulicznej.  
Dobry człowiek.  
Wieżdź polityczny.

Jak na liryce refleksyjnej Broniewskiego  
zaciążył fatalnie wpływ Słonimskiego i nie-  
możność wyjścia poza krąg ideologiczny  
przejęty przez pisarzy typu „skamandryckie-  
go” od młodopolskiej lewicy literackiej (Że-  
romski, Strug), tak znowu w liryce osobistej  
autora „Drzewa rozpaczającego” słyszymy  
wyraźne echa Tuwima z okresu „Siódmej  
jesieni” i „Sokratesa tańczącego”:

Listki akacji? Jesień? No tak...  
Życie — no tak — niewczesne...  
Pozwól, że łyknę — niech trafi szlag! —  
pozwól, że łyknę i westchnę.

(„Wiersz przeciwjesienny”).

W podobnym tonie i stylu są utrzymane  
utwory takie, jak np. „Warum”, „List bez  
adresu”, „Ze złości”, „Wiersz ostatni” i cały  
szereg innych. W paru zaledwie utworach  
osobistych przełamuje poeta ten maniere-  
szablon skamandryckiej „poezji popularyzacji”  
i daje utwory pełne czystego liryzmu, wiersze  
o naprawdę wielkim ciężarze gatunko-  
wym jak np. „Ballada” czy „Ręka umarłej”.  
(Motyw zasadniczy tego ostatniego utworu  
jest zaczerpnięty z ludowego wizerowania, że  
dusze umierających mogą dawać znać bliskim  
sobie osobom o swoim odejściu).

Mimo jednak wielkiej niekiedy piękności  
swojej wiersze tego rodzaju jak wspomniane  
powyżej są w twórczości Broniewskiego zja-  
wiskami wyjątkowymi. Zasadniczy ton, za-  
sadniczy nurt tej poezji buntu i walki od-  
najdujemy dopiero w liryce żołnierskiej na-  
szego poety:

Nasze granice naszli znieca  
słupy graniczne zewsząd zrabali...  
Idzie Kresowa, idzie Karpaka,  
w dymie eksplozji, w huku batalii.

Nasze granice?... — trzeba ich szukać  
w rytynie kaemów, w chrzęście panczerzy  
My już to wiemy, stara nauka  
polskich tułaczy, polskich żołnierzy.

(„Monte Cassino”)

Dla obu ostatnich zbiorów najbardziej re-  
prezentatywne i rozstrzygające o znaczeniu  
tych ksiąg są wiersze takie jak „Bagnet  
na broń”, „Żołnierz polski”, „Co mi tam tro-  
ski”, „Zamieć”, „A kiedy będę umierać”,  
„Monte Cassino”. Przekonywują nas one, że  
poeta ma pełne prawo mówić o sobie:  
bo dziś Pielgrzymów jam rówieśnik,  
Wygnańców depczę ślad,  
i muszę donieść ciężar pieśni  
na tamten brzeg mych lat.

(„List z więzienia”)

I te wiersze pozwalają nam zrozumieć sek-  
ret wpływu i popularności poezji Broniew-  
skiego. Poeta ten potrafi nadawać poetycki  
wyraz uczuciom zbiorowości, potrafi uczucia  
te zamykać w słowo najprostsze, a zarazem  
najtrafniejsze, jakby właśnie przez tę zbioro-  
wość podyktowane. I dlatego nie w jakichś  
rewelacyjnych z punktu widzenia filozofii  
sformułowaniach, nie w oryginalności czy do-  
skonałości walorów formalnych leży siła i  
wartość poezji Broniewskiego, ale właśnie w  
zdolności nadawania kształtu uczuciom i pra-  
gnieniom bezimiennym, nie mogącym zna-  
leźć sobie wyrazu — i to nadawania kształ-  
tu właśnie takiego, że zbiorowość przeżywa-  
jąca owe pragnienia i uczucia poznaje je w  
tym kształcie jako własne. Jeżeli o kimś ze  
współczesnych poetów można z całą pewno-  
ścią powiedzieć, że jest poetą ludowym w  
najpełniejszym i najwłaściwszym tego słowa  
znaczeniu — to właśnie o Broniewskim. Nic  
też dziwnego, że robotnicy Łodzi ufundowali  
z groszowych składek nagrodę dla tego po-  
ety. Pierwszy — i jakże zasłużony pierwszy!  
— to poeta, który wawrzyn otrzymał nie z  
rąk kolegów po piórze czy państwowych ur-  
zędników, ale z rąk pracującego ludu. Przed  
wojną umiał Broniewski wyrazić w swej po-  
ezji cierpienie i bunt mas ludowych, w okre-  
sie wojny stał się wyrazicielem ich patriotyz-  
mu, ich woli walki i zwycięstwa.

Jest jeszcze jeden rys poezji Broniewskie-  
go, który gwarantuje jej rozległość i donio-  
łość wpływu: wspaniałe wieczne malkonten-  
ctwo poety, które każe mu szukać coraz no-  
wych i doskonalszych wzorców dla kształto-  
wania rzeczywistości, nie zadawał się już  
osiągniętymi formami, protestował przeciw  
wszelkim odstępstwom od realizowanych idea-  
łów.

Moje życie podobne lustru,  
w którym zły przegląda się los:  
każde prawo i każdy ustrój  
w całałny mnie rzuca stos.

(„Do poezji”)

Ta poezja nigdy nie stanie się nadwornym  
blaznem ani lokajem żadnej istniejącej rze-  
czywistości. Ale jej opozycjonizm, jej buntow-  
niczość nie ma w sobie nic z nihilistycznego  
pesymizmu, negującego wszystko w imię wła-  
snej impotencji twórczej. Bunt przemawiają-  
cy strofami wierszy Broniewskiego — to pro-  
test wyczułonego sumienia, chwytającego  
trafnie wszystkie fałszy, wszystkie dysonanse  
istniejącej rzeczywistości. Ta forma poety-  
ckiego malkontentstwa jest nie potępieniem  
świata, ale jego najgłębszą afirmacją, bo  
u podstaw jej leży ta sama choć innymi wy-  
powiadająca się językami wiara w możliwość  
nieograniczonego postępu ludzkości, która ka-  
zała Słowackiemu żywić nadzieję:

Ze coś większego ze świata być może,  
Gdy się urodził w nowości z ducha cudów,  
Niż gniazdo nędznych i cierpiących ludów.

To zestawienie Broniewskiego ze Słowa-  
ckim nie jest ani przypadkowe, ani też nie  
należy go uważać za zdawkowe pochlebstwo.  
I poetyka Broniewskiego i jego pogląd na  
rolę sztuki w życiu społecznym wywodzą się  
poprzez Młodą Polskę z tradycji polskiego  
romantyzmu. Nie mam zamiaru w tym wy-  
padku ani zachwycać się tymi parantelami  
literackiego Broniewskiego, ani też łamać  
nad nimi ręk. Chodzi mi po prostu o stwier-  
dzenie faktu. Jedno tylko można powiedzieć  
z całą pewnością: postawę swoją traktuje  
Broniewski najzupełniej serio, nie ma nic z  
pozy ani przesady w tej autocharakterystyce  
poety:

całe życie jestem na froncie  
Ikarowy zestawszy lot,  
jak samolot z tych nieb mnie strącił,  
żebym spadł jak młazdzący młot,  
żebym runął sercem płonąjącym  
jak przedwieczny legendy ptak:  
obietnica umierającym,  
a walczącym — bojowy znak.

(„Do poezji”)

Bojowym znakiem dla walczących była  
zawsze poezja Broniewskiego. Wyrosła ona  
poza techniczną umiejętność gładkiego skła-  
dania słów w wiersze, poza snobistyczną za-  
bawę w jałowe rymotwórstwo. Nasycona naj-  
głębszą treścią ludzką, przemawiająca przede  
wszystkim moralną swoją siłą i powagą, im-  
ponująca odwagą przekonani że przetrwanie  
ta poezja — mimo wszystkich zastrzeżeń, jakie  
można zgłosić pod jej adresem — trwałą po-  
zycją w dziejach naszej literatury.

### Biblioteczka tyg. „Wieś”

Tygodnik „Wieś” rozpoczyna wydawanie  
„Biblioteczki Popularnej”. Technicznie rzecz  
biorąc będą to tomiki do 32 str. druku, wyda-  
wane co miesiąc.

Sprawa zasadniczą, interesująca czytelnika  
i pisarza jest jednak przede wszystkim myśl  
tego wydawnictwa. Otóż przy pomocy takich  
rodzajów literackich jak nowela, obrazek, o-  
powiadanie, pragniemy dać obraz tych prze-  
obrażeń, które przeżywa wieś dzisiejsza.

Reforma rolna w jej trudzie praktycznego  
załatwienia, wszystkie jej konsekwenecje a są  
one niebyłajkie i strukturę wsi zmieniają do  
grunt, próby racjonalnego planowania w go-  
spodarce rolnej i przelamywanie się tych prób  
w świadomości chłopca, technizacja wsi, pęd  
wsi do awansu kulturalnego, próba przecho-  
dzenia chłopca do innych kręgów pracy i wie-  
le innych zagadnień — oto tematyka.

Jest ona bogata i zróżnicowana. Byłoby rze-  
czą śmieszna załatwiać ją metodą plakatu.  
Tematyka ta potrzebuje odważnych piór i o-  
strzegaję spojrzenia. Sytuacja wsi jest niewątpli-  
wie nadal trudna. Przeżyła ona poważny  
wstrząs społeczny. Nowa wieś dopiero się wy-  
kluwa; do rozrostu ma ona warunki; to jest  
jej atutem, że ma obecnie przed sobą pers-  
pektywę wyjścia.

Można tu, ażeby dać w przybliżeniu to, o  
co nam chodzi, posłużyć się analogią history-  
czną. Ta analogia jak każda inna tylko w pe-  
wnych punktach będzie nakrywała dwa mo-  
menty z dziejów naszej rzeczywistości wie-  
jskiej, które chcemy zestawić. Te momenty są  
różne w swych przyczynach, podobne nowo-  
ścią sytuacją. To wieś powulasczeniowa z  
drugiej połowy XIX w. i wieś po Reformie  
Rolnej — owoc rewolucji społecznej która na-  
sze państwo przeżywa.

Wieś powulasczeniowa została literacko  
pokwitowana. Pióra Prusa, Sienkiewicza, Orze-  
szkowskiej kreśliły te właśnie wieś, stawiając te  
wszystkie zagadnienia, które wówczas były  
dla niej właściwe. W ten sposób nowela po-  
zytywistyczna spełniła swoje zadanie — wpro-  
wadziła w świadomość narodową sprawę, któ-  
re były palące dla tamtego momentu histo-  
rycznego.

Dzisiaj pisarze ludowi stają wobec równie  
trudnego zadania — wprowadzić w świadom-  
ność warstwy chłopskiej i narodu takie kate-  
gorie myślenia, uczucia i działania na odcinku  
rzeczywistości wiejskiej, by wieś ta awanso-  
wała rzeczywistość.

Pisarz jest czułym świadkiem procesu histo-  
rycznego.

Pisarz swoją organizującą wyobraźnią lite-  
racką może pokazać gromadzie wiejskiej wszy-  
stkie możliwości, jakie przed nią stoja.

Autorami nowel, wydawanych przez Tygo-  
dnik „Wieś” będą pisarze z „marka” a poza  
tym młodzi literaci z kręgu wiejskiego.

Zwracamy się do pierwszych jak i do dru-  
gich z apelem o nadsyłanie swoich utworów.

Jasne jest że podjęcie tego wydawnictwa  
napotka na duże trudności. Praktyczne wyko-  
nanie będzie mogło niejednokrotnie budzić za-  
strzeżenia. Jedne porzycie będą lepsze, drugie  
gorsze. Prosimy jednak o zyciwe przyjęcie  
samej myśli i o dopomożenie w jej realizacji.

Prosimy tak pisarzy jak i czytelników:  
niech ewentualne błędy nie przekreślają w ich  
oczach całości.

\* \* \*

Pierwszą pozycją „Biblioteczki Popularnej”  
są opowiadania Józefa Pogana: „Dekret Nie-  
bieski” i „Biedny i Bogaty”.

Jest tu ujęta sprawa reformy rolnej i różni-  
cowania społecznego wsi. Technika pisarska Po-  
gana wskazuje na to, że Autor liczy się z ty-  
pem myślenia „wsi wczorajszej”. Do niego  
nawiązuje, by stworzyć jakby punkt wyjścia  
do tych ujęć, których dzień dzisiejszy wymaga.

L. S.

POPULARNA BIBLIOTECZKA  
TYGODNIKA „WIEŚ”

TOM I

JÓZEF POGAN

DEKRET NIEBIESKI  
BIEDNY I BOGATY

OPOWIADANIA

CENA 20 ZŁ.

WYDAWNICTWO ZWIĄZKU  
SAMOPOMOCY CHŁOPIEJSZEJ  
ŁÓDŹ — 1946

## A. Kwiecień

## MAZURY

## 1. TAM, GDZIE KOPERNIK WOJOWAŁ

Nagle skończyły się mazowieckie chaty o bielonych ścianach i słomianych dachach. Skończyły się równiny uprawnych pól. Ukazały się rozrzucone czerwone domy i zabudowania. Jesteśmy na Ziemi Mazurskiej. Senne lasy, znaczne przestrzenie nieuprzążonych jezera, potłuczone miasta i wsie, liczne jeziora o fantastycznych kształtach — oto krajobraz mazurski. A przede wszystkim lasy i jeziora. Poświęcono im wiele lirycznych opisów i uwieczniano często na uroczych kartach fotograficznych. A ponieważ nie samą liryką człowiek żyje, więc należy przypomnieć realnie: lasy i jeziora to w tej chwili największe bogactwa Ziemi Mazurskiej.

Olsztyn jest siedzibą województwa. Liczy ponad 40 tys. ludności, t.j. więcej niż połowę stanu przedwojennego, także więcej niż połowa miasta — szczególnie śródmieście — leży w gruzach. Zachował się jednak Zamek. Niemcy uważający za tego „grossen Astronomen“ Kopernika uporczywie zapominali, że z tego Zamku wielki uczonego dzielnie odparł (1521 r.) ataki germańskich drapieżców, ozdobionych w białe płaszcze z czarnymi krzyżami. Dziś Zamek mieści w sobie Muzeum Mazurskie, w którym mamy bardzo wymownie świadczące za polskością tych ziem ekspozycje i dokumenty. Ocalał stary ratusz, choć jakaś głupia ręka poobtrącała głowy licznych rzeźbom frontonowym. W dawnym ratuszu ściśnięte zostały liczne urzędy. Do ładnie zaplanowanej dzielnicy urzędów przeniesie się niedługo Województwo, które remontuje sobie obszerny gmach, na którym widnieje jeszcze gotycki napis „Kopernicusschule“.

Olsztyn ma stały Teatr im. St. Jaracza (pomnik Jaracza — stoi naprzeciw gmachu), dwie linie tramwajowe, piękną kolonię pracowniczą nad jeziorami, dużo urzędów, instytucji, organizacji i związków na stopniu wojewódzkim. Jest ciasno. Stosunki mieszkaniowe wołają o rychły wgląd Komisji Specjalnej. Ceny produktów żywnościowych jak na starych ziemiach. Najtańsze grzyby i ryby. W sklepach ruch, ale największy chyba w sklepie Mazurskiej Spółdzielni Rybackiej.

## 2. WSCHODNIE BASTIONY

## WYJĄTKOWEGO GERMANIZMU

Wiele w tej ziemi wsiątko lez i krwi. W dawnych wiekach ujarzмили tę ziemię rycerze, co krzyż nosili na piersiach, a w ręku ociekający krwią miecz, w umysłach zaś zdecydowany zamiar wytopienia tutejszego ludu. Później pruskie regimenty wciśnięte ten lud w żelaznych swych łapach, urządzając ten kraj na wzór twierdzy i koszar. Ostatnie wcielenie krwiożerczego germanizmu — hitleryzm — najbrutalniej niszczył wszelkie ślady polskości, a równocześnie prowadząc nawet deficytową i zaniedbaną gospodarkę na tych ziemiach — budował w opętańcym szale twierdze wypadowe, skąd rzeczywistość weszły opancerzone dywizje na podbój Polski i Słowiańszczyzny.

O masach wojsk, jakie tu stacjonowały dają pojęcie chociażby te olbrzymie kompleksy koszar w Olsztynie, Elblągu, Bartoszycach, Licbarku i wszystkich większych miastach obecnego województwa olsztyńskiego. Triumf Hindenburga spod Tannenbergu nie został powtórzony i już nie powtórzy się.

Z germańską butą, manią wielkości i w swoistym guście wzniezione pod Tannenbergiem mauzoleum Hindenburga jest mocno zniszczone. Czas, by resztę tego „pomnika“ wysadzić w powietrze.

A obok, kilka kilometrów dalej, pola Grunwaldu. Przykro patrzeć na obecny wygląd tego historycznego miejsca. Puste, głuche pola. Żadnego znaku na miejscu. Tylko zapomniane prowizoryczne trybuny, rząd dawno zeszlých świerczków i szczątki po polach rozrzuconych krzesel. To wszystko chyba jeszcze po zeszlonych wielkich Uroczystościach Grunwaldzkich. Jakby stamtąd wyszły w pośpiechu uciekli... i zapomnieli.

## 3. NA BISKUPICH TRAKTACH

Środkowa i zachodnia część obecnego województwa olsztyńskiego — to dawniejsza Warmia. Katolicka Warmia, która miała dwudziestu kilku biskupów-Polaków od Hozjusza (pocz. XVII w.) począwszy, a na Ignacym Krasicim skończywszy (pocz. XIX w.). Tak mówi sala herbowa w Zamku Licbarskim. Biskupów warmińskich w Licbarku, położony nad Łyną — która ongiś głębokie fosa wypełniała — stanowi jeden z najpiękniejszych na Mazurach zabytków, zachowany jako budowla w zupełnie dobrym stanie. Wewnątrz jednak widać drapieżne wizyty. Był tu żołnierz, gdy front się przewalał, był tu później niejedyn węszący szabrownik. Czyja to zła lub beznamiętna ręka porozbięła

piękne piece majolikowe (w poszukiwaniu skarbów?), plastyczny model zamku i okolicy, zdemolowała zamkową kaplicę?

Rezydencję mieli biskupi warmińscy w Licbarku, katedrę zaś we Fromborku. Katedra z licznymi tablicami i nagrobkami polskich biskupów i kanoników zachowała się w dobrym stanie, chociaż sam Frombork jest w 90 proc. zniszczony i jest prawie wymarłym miastem. Fromborska katedra, wysoko nad miasto i Zalew Wiślany wyniesiona, jest związana z Mikołajem Kopernikiem. Obok katedry wskazują nam budynek i okna sal, w których mieszkał i swe epokowe dzieło „O obrotach sfer niebieskich“ pisał Wielki Uczony. W katedrze obok wielkiego ołtarza portret Kopernika, spopularyzowany licznymi reprodukcjami.

Na urwistym brzegu Zalewu wystawili Kopernikowi Niemcy wieżę - pomnik coś, co jest wyjątkowo nieinteligentnie wmontowane w całość związaną ściśle z katedrą.

## PIONIERZY

Województwo olsztyńskie posiada już spory zastęp ludzi, którzy są miejscowymi patriotami, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Ci doskonale widzą osiągnięcia i braki. Niektórzy z nich pracują tu od kilkunastu miesięcy, borykają się z trudnościami, ale nieustępliwie z dnia na dzień wzmacniają praworządność, podnoszą zagospodarowanie i utrwalają polskość.

Oto jeden z wyższych urzędników Województwa. Mieszka, że pożał się Boże. Martwi się wiele, że wciąż za mało koni na tych ziemiach, że za dużo szabrowników, że nierozsądni ludzie w administracji wiele złego zrobili Mazurom i Polsce. Ale nie tylko się martwi. Wiemy, że mocno zabrał się do ludzi nieuczciwych i sytuację ciągle poprawia, że dzielnie walczy o inwentarz, kredyty i materiały budowlane.

Inżynier K. S. przybył tu z pierwszym Pełnomocnikiem Rządu, gdy jeszcze front był w Królewcu. Zna Mazury wszczepił i wzduż. I kocha je. Pracuje w niewygodach i kłopotach od świtu do nocy. Dzięki niemu zostało zabezpieczonych wiele cennych zabytków, dzięki niemu ruszyła odbudowa wielu miast i miasteczek mazurskich. Puszko kilkanaście drobnych i średnich zakładów przemysłowych.

Chłop z Sokołowskiego Józef H. zorganizował, jako jeden z pierwszych, kilkanaście rodzin z biedoty wiejskiej wyciągniętych mimo grózb i terroru „leśnych polityków“. Osiedlili się na zasadach spółdzielczo - parcelacyjnych w dwóch majątkach w pow. licbarskim. Z chłopską zawziętością zaczęli orać, siać, naprawiać zabudowania i maszyny. Aż tu nagle obwieszono im, że majątki przechodzą pod kulturę rolne. Zacięli się chłopcy, bo dużo zrobili i na żadną pomoc się nie oglądali. „Nie puścimy swego dorobku — mówi Józef H. — byliśmy wiele razy w Olsztynie, pójdziemy do Ministra Ziem Odzyskanych, bo mamy za sobą uczciwą pracę i siusznosc“.

Traktorzysta Henryk P. orze właśnie na rozległych obszarach majątku państwowego koło Ornety. Przybył tu z kilkoma towarzyszami do stacji traktorów. Jeden z przyjaciół wyleciał z maszyną w powietrze najechawszy na minę, dwóch zrezygnowało i wyjechało do Gdańska. Henryk P. został. Od świtu wyjeżdża w pole i orze.

Takich ludzi na Mazurach potrzeba więcej!

## DALSZE ROZMOWY

Z innej, ciemniejszej strony naświetla zagadnienia młody milicjant, z którym rozmawialiśmy koło Szczytnej. Ciężką i niebezpieczną jest jego służba. Południowe powiaty województwa, leżące nad granicą województwa warszawskiego i białostockiego wciąż jeszcze narażone są na najazdy obok o charakterze politycznym, albo rabunkowo - kryminalnym. Wciąż jeszcze zapędzają się tutaj jednostki lub całe grupy szabrowników. Te wszystkie szkodnicze elementy dewastują gospodarstwa prywatne i państwowe, ruinują budynki mieszkaniowe, dopuszczają się aktów terroru. Najbardziej cierpi na tym ludność mazurska. Wszystko to hamuje zasiedlenie i rozwój gospodarzy tych ziem.

W miastach i miasteczkach dużo sklepów, a wśród nich poważny procent stanowią różne restauracje, piwiarnie, pasztecziarnie i t. p. pokrewne „zakłady“. Jest ich za dużo. Ich właściciele mają pięknie urządzone mieszkania. Ale ich złote czasy skończyły się, wraz z odpływem fal mocno podejrzanych pierwszych „osiedleńców“ i „turystów“. Sytuacja wyjaśnia się i krzepnie. Tu już teraz jest miejsce tylko dla ludzi rzetelnej pracy. Szykarze melancholijnie wspominają „dawnie czasy“, bardzo chłodno mówią o obecnych, a szczególnie nieprzychylnie mówią o autochtonach. Zrozumieli: jeśli często prawem kaduka zabrało się tej ludności

domy, takimiż prawem zajęło się mabele i inwentarz — to nic dziwnego, że wszystkim wokół mówi się o całkowitym shitleryzowaniu Mazurów.

## MAZURY I WARMIACY

Warmiacy (określenie ludności według zasięgu dawnej diecezji warmińskiej) mieszkają w pasie rozciągającym się półkole od Sztumu poprzez Bartoszyce, Licbark, w stronę Olsztyna. Mazury (protestanci) zamieszkują tereny południowe i wschodnie b. Prus Wschodnich.

Przed wojną obie te grupy liczyły w sumie ponad 300 tys. ludności. Ludność ta jest z pochodzenia polską. Ale półtora wieku panowania niemieckiego, szczególnie bezwzględna walka z polskością w okresie hitleryzmu — spowodowały, że już znikomym procent tej ludności (i to prawie wyłącznie to najstarsze pokolenie) oparł się wynarodowieniu. Młodzież nie zna już dialektu mazurskiego i uważa się za Niemców Tylko nazwiska — mimo ich zniemczania — mówią, jakie jest pochodzenie ich właścicieli.

Dziś ludności tej pozostało nieco ponad 65 tys., co stanowi w przybliżeniu 20 proc. obecnego stanu ludności województwa (340 tys.). Przeważają ludzie starzy i dzieci, a więc tacy, którzy albo w sobie nieco polskości utrzymali, albo dają możliwość wychowania ich na Polaków.

Niestety, do tej pory nie tylko, że nie wykorzystano się tych możliwości, ale przeciwnie: możliwości te wydatnie pomniejszono. Kto zawinił? A więc: pierwsi drapieżni goście (ci najwięcej), później w wielu wypadkach przesiedleńcy, którym bardzo na rękę było potraktowanie jako Niemców wszelkiej ludności, jaką tu zastali, następnie liczne nieuczciwe jednostki, zajmujące stanowiska w aparacie administracyjnym, w samorządzie terytorialnym i organach bezpieczeństwa, wreszcie częściowo zawiniono tu odgórnie nie dopatrzywszy ludzi, którzy tu przyszli do władzy, nie biorąc w obronę prawną ludności mazurskiej i warmiackiej oraz pomijając ją całkowicie w rozdziale pomocy przeznaczonej na to województwo.

Stabilizacja i poprawa stosunków gospodarczych, poprawa bezpieczeństwa, wymierzenie szabrownictwa, oczyszczenie elementów administracyjnego, pomoc materialna dla Mazurów, wreszcie rozwój szkolnictwa — wszystkie te czynniki mogą jeszcze owe 65 tys. ludności — skądinąd bardzo wartościowej i tam potrzebnej — Polsce przywrócić.

Chociaż wzięto się do tego nieco za późno, ale lepiej późno — niż wcale.

## REALIZM PODANIA O POPIELU

W lipcu i sierpniu 45 r. na sporych obszarach nie było komu zebrać dojrzałych w polach zbóż. Ziarno i kłosa opadły na ziemię. Stały tu i ówdzie całymi miesiącami nieknięte sterty zboża lub słomy; brakło ludzi, by pola orać i uprawiać. Rzuciły się na nie osty i inne chwasty. Ciężka to będzie walka. Ale jeszcze chyba cięższa będzie z gryzoniami. W tych sprzyjających warunkach w niesłychanym stopniu rozmnożyły się myszy i szczury. Gdy z szosy wejdzie się kilkanaście kroków w pole, to wszędzie widać mnóstwo otworów, ziemia ugina się i zapada pod stopami, stada mysz rozlatują się w różne strony. Są powiaty, w których ponad 75 % zbiorów zostało zniszczonych. W powiecie bartoszyckim — jak wynika z rozmowy z członkiem Prezydium Pow. Rady Narodowej — sytuacja przedstawia się chyba najgorzej. Powiat najbardziej ucierpiał w czasie działań wojennych, jest jeszcze częściowo zaminowany i mimo że ma doskonałą glebę, jest najslabiej zaludniony, Gryzonie zjadły zbiory; ludności zabraknie ziarna do siewu i grozi jej głód. Nakazuje się szybkie omloty, okopywanie stert i różne sposoby zwalczania tej plagi. Osadnicy z obawą patrzą w niedaleką przyszłość.

Szuka się środków zaradczych w postaci specjalnych szczepionek w laboratoriach i zakładach naukowych w Polsce i za granicą. Tymczasem myszy i szczury coraz groźniej zaczynają nachodzić na większe osiedla i miasta. Niestety, wciąż jeszcze niewiele można zrobić, by generalnie zaradzić zhu. Los, któremu uległ legendarny Popiel, winien być groźnym ostrzeżeniem dla Ministerstwa Rolnictwa.

## O PRZYSZŁOŚĆ GOSPODARCY ZIEMI MAZURSKIEJ

Na odbudowę woj. olsztyńskiego, a w związku z tym wzmocnienie akcji osadniczej zwiększone zostały ostatnio kredyty Ministerstwa Odbudowy. Przeznaczona na II półrocze br. kwota 55 milionów zł. jest już w naszych warunkach — sumą okazałą.

Wzrasta dopływ materiałów przemysłowych, a szczególnie budowlanych. Wzrasta też produkcja miejscowych cegielni, dachówczarni, młaków, fabryk narzędzi rolniczych. Liczba osadników (przesiedleńców i repatriantów) systematycznie wzrasta, coraz dłuższe i szersze są pola uprawne wokół osiedlonych zagród, wzrasta pogłowie inwentarza. Wzrasta liczba rodzin rybackich, połowy wykazują coraz lepsze rezultaty; ostatnio założono kilka dużych wylęgarni ryby śródlądowej. Gospodarka leśna i przemysł drzewny są dziedzinami jeszcze nieco opóźnionymi.

Na teren województwa olsztyńskiego zwrócona została baczniejsza uwaga najwyższych czynników państwa. Ostatnio bawiła w Olsztynie komisja złożona z przedstawicieli Ministerstw: Ziem Odzyskanych, Aprowizacji i Handlu, Przemysłu i Centralnych Zarządów przemysłowych. Celem jej było zbadanie możliwości wzmocnienia rozwoju przemysłowego Mazurów. Baczniejszą uwagę zwrócono na przemysł drzewny oraz na rybactwo i przemysł z nim związany. Te dziedziny gospodarce mają w tej chwili najlepsze możliwości i perspektywy rozwojowe.

Równoległe z akcją rozwoju przemysłu i miast idzie akcja pomocy odbudowy i osadnictwa rolnego w ramach polityki M. Z. O. — jako dwie wzajemnie się uzupełniające dziedziny, zmierzające do jednego celu: zagospodarowania i spolszczenia tych ziem.

## UWAGI KOŃCOWE

Mijamy w drodze powrotnej Nidzicę (Nibork). Wiszą jeszcze nadtluczone szyldy mówiące, że tutaj do niedawna kupcami byli: Marchlewitsch, Joswig. Może zostali tu jeszcze ich synowie lub wnukowie. Wierzymy, że po przejściowym okresie zachwiania, potomkowie ci będą dzielnymi polskimi Marchlewiczami i Józwikami.

Zwalony budnek dawnego niemieckiego urzędu celnego i dawna granica. Już ona nigdy tędy przebiegać nie będzie i ten budnek dla celów poprzednich nie zostanie odbudowany. Niemczyzna została odepchnięta bezapelacyjnie daleko na Zachód.

Znów ukazały się bielone ściany i słomiane strzechy. Wzdłuż szosy na Mławę widzimy dużo zagród, które swym wyglądem świadczą, że u ich właścicieli przednówki są długie i ciężkie. I świadczą o tym, że trzeba podważyć nieco usznięte pojęcie o mocy przywiązania naszego chłopca do odziedziczonego zagona.

Mazurskie ma przyszłość przed sobą i czeka na ludzi uczciwej pracy.

## Książki nadesłane do Redakcji

Wydawnictwa spółdzielni wydawniczej „Książka“ 1946 r.

- Bałzac: Stracone złudzenia, str. 374.  
— Blaski i nędze życia kurtyzany, str. 334.  
Kochanowski: Wybór Poezji, str. 172.  
Prus: Faraon t. II/III, str. 317, 270.  
Rudnicki: Józefów, str. 16.  
Bogucki: Mały kodeks karny, str. 129.  
Piechanow: O materialistycznym pojmowaniu dziejów, str. 53.  
Dembowski: Psychologia małp, str. 270.  
Aldridge: Orzeł morski, str. 272.  
Aragon: Niewola i wielkość Francji, str. 162.  
Schabowski: Szarotki, str. 28.  
Klimczak: Od Oko do Szprewy, str. 228.

## OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Wieś“ przypomina o wpłacie zaległej numeraty

Nr. Konta P. K. O. Łódź VII-1080

Prenumerata „Usi“ wynosi zł 25 miesięcznie, zł 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.  
Komitet redakcyjny: Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Pietak Stanisław, Komitet ternowy: Frasiak Józef, Andrzej, Nedza-Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100 98.

Redakcja rekopisów nie zwraca.  
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś“, Łódź, Piotrkowska 96. I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik“ — Łódź ul. Żwirki 2 D-01144